



XXI OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

im. Mieczysława Stryjewskiego

Lębork, 24 listopada 2006 r.

1





ORGANIZATORZY

Burmistrz Miasta Lęborka

Rada Miasta Lęborka

Samorząd Powiatu Lęborskiego

Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana w Lęborku

Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku

Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Oddział w Lęborku

Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego

Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku

Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku

Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji

Farm Frites Poland SA



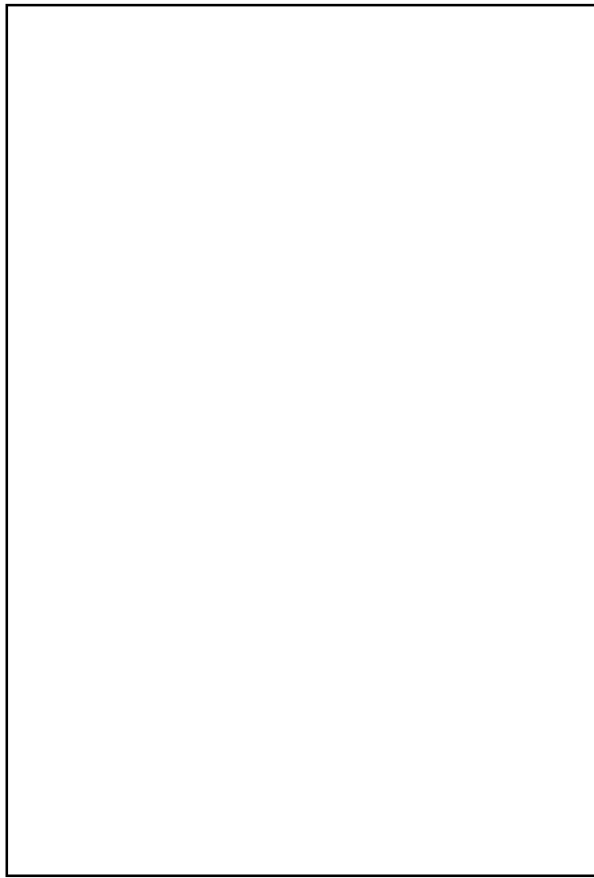
PATRONAT HONOROWY

MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Patronat prasowy: DZIENNIK BAŁTYCKI

Poszukiwanie

*szukam kropki podobnej do tęczy
w której jak w dłoni
zamykam okruch słońca
zawieszam wszystko na drzewie
naświatlam swoją radością
żeby nie zgasła
spadając na ziemię*



JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący
Stanisław Janke
Roman Pryl

LAUREACI

Nagroda Marszałka Województwa Pomorskiego

Ida Maria Morzyk (Kielce)

w kategorii poezji:

I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka

Czesław Markiewicz (Zielona Góra)

II nagroda Przewodniczącego Rady Miasta w Lęborku

Michał Nowak (Zielonka)

III nagroda

Michał Lersth (Płock)

w kategorii prozy:

I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego

Czesław Markiewicz (Zielona Góra)

II nagroda Przewodniczącej Rady Powiatu Lęborskiego

Piotr Biegasiewicz (Konin)

III nagroda

Rafał Jaworski (Tychy)

Nagrody specjalne:

Nagroda im. Józefa Majkowskiego Katolickiego Stowarzyszenia

Civitas Christiana w Gdańsku

Łucja Gocek (Chojnice)

Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

Elżbieta Bugajna (Ramleje)

Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku

Edward Kaczmarek (Bydgoszcz)

Powrotom z rewolucji towarzyszy smutek, katar i przewlekła sraczką

1.

Październik. Wiatr na pustych ugorach. Kołyszące się chaotycznie wysokie trawy, osty i uschnięte zioła.

Głóg. Krwistoczerwone owoce na matowo czarnych gałęziach,

- Oj, Anastazja! Nie kocham cię, ale jesteś taka piękna! Powinnaś mieć na imię Najada.

„W mojej rodzinie prawie wszyscy mają włosy w kolorze miodu- pomyślała - Moja siostra Lena, jasne, jak miód lipowy, Nadbor, mój brat ciemniejsze, jak spadziowy, mama i ciotka Mariszka płomienne jak miód kwiatowy. Tak jak ja,”

Niebo było niskie, ciężkie, gołębno szare.

„Dziś 27 października. Niedługo Wszystkich Świętych”

2.

W starej trzydrzwiowej szafie z poczerniałego modrzewia wisały gęste, ciepłe futra. Ciemnobraunatne z niedźwiedzia, babci, srebrno błękitne z wilka, dziadka, czarne, matowe z długim włosiem z jaka, które Loki ukradł w Nepalu. Były też mufki, kołnierze i puchate czapy z lisów śnieżnych, norek i nutrii. Szafa zawsze jeździła z nimi gdy podróżowali, zwiedziła z nimi prawie całą Rosję. A kiedy Anastazja była dzieckiem, siadała często na przeciwko jej ciemnych, drewnianych drzwi i wpatrywała się w sęki przypominające parę kotów obserwujących startującą rakietę.

Nigdy nie zatrzymywali się nigdzie dłużej niż na dwa lata. Z powodu braku stałego domu szafa stała się symbolem niezmienności.

Nigdy nie mieli zbyt wielu mebli, a i tak większość sprzedawali razem z mieszkaniami, i kupowali jakieś nowe, bo tak było wygodniej. Albo wynajmowali mieszkanie z meblami. Jednak szafa, za duża i nieporęczna, zawsze jechała z nimi.

Dziadek zmarł kiedy miała cztery lata. Już prawie go nie pamiętała. Ale zawsze kiedy tęskniła i kiedy było jej smutno, zawsze wtulała się w jego wilcze futro i wtedy na chwilę wracało wspomnienie zapachu, głosu, spojrzenia jasnoblękitnych, mądrych, dobrych oczu.

3.

Kiedy otworzyła drzwi, otoczyło ją ciepło i zapach domu. W drewnianej kuchni z oknem w skośnym suficie babunia robiła konfiturę z dzikiej róży. Nadia Iwanowna wychowała się w Północnej Rosji w dalekiej krainie Komi. Po śmierci rodziców wyjechała na Syberię, gdzie mając szesnaści lat posłubiła dziadka, polskiego zesłańca. Kiedy jej starsza córka Sonia, matka

Ida Maria Morzyk

Anastazji poznała Borysa, młodego cyrkowca i wyszła za niego za mąż, dla rodziny rozpoczęła się długa wędrówka po Rosji. Para słynnych cyrkowych akrobatów, tancerzy na linie, zmieniała miejsce zamieszkania razem z przemieszczaniem się cyrku, gdy repertuar znudził się miejscowej ludności. Ciągnęli ze sobą najpierw Babunię i dziadziusia, dużo młodszą siostrę mamy, ciotkę Mariszke, młodszego brata taty, stryjka Igora, nazywanego w rodzinie Che, potem Lenę, starszą siostrę Anastazji, ją samą, ich młodszego brata Nadbora, potem Gruzińskiego męża Leny, Grigora, i jego młodszego brata Dymitra zwanego Lokim. A w końcu córkę Leny, Irinę.

Anastazja czasami dziwiła się że są aż tak bardzo zżyci ze sobą, jakby różnice zespały ich, zacieśniały więzi duchowe, a brak rodzinnej siedziby utrwał tradycje noszone w sercach.

4.

Znicz palił się łagodnym, równym płomieniem.

Ciotka poprawiała złote chryzantemy w słoiku na grobie teściów Babuni. Po powrocie do domu zapalili na stole w kuchni, w najładniejszym lichtarzu wąską, długą świecę z jasnego wosku i postawili w wazonie fioletowe astry, ukochane kwiaty Dziadziusia.

Babunia wyjęła z szafy wilcze futro i wtuliła w nie twarz. Anastazja naalała sobie dobrej, świeżej maślanki do kubka z grubego, kremowego fajansu w niebieskie kwiaty. Usiadła przy stole i opierając twarz na splecionych dłoniach patrzyła jak ciotka Mariszka smaży złociste, brunatne na brzegach naleśniki. Uśmiechnęła się na myśl, że najsmaczniejsze i najlepiej wysmażone pożre Che.

- Idź sobie - fuknęła ze śmiechem ciotka - nie zamawiaj mi oczami roboty!

Poszła do ich wspólnego pokoju i usiadła na swoim łóżku pod skośną ścianą poddasza. I zaczęła bawić się naszyjnikami z czarnego, ponurego kamienia. Jeszcze nie rozpakowała wszystkich rzeczy. Rodzice postanowili, że jednak dobrze by było, gdyby dzieci skończyły szkołę a babcia odpoczęła, Lena i Grigori znaleźli stałą pracę. Wyjechali w trasę na Bałkany, a dla rodziny wynajęli mieszkanie w rozpadającej się kamienicy w Polsce.

Anastazja tęskniła za nimi i za przyjaciółmi z Samary, gdzie mieszkali ostatnio przez pół roku. Było jej dziwnie na duszy. Myślała o tym starym mieszkaniu i o tym, jak blisko stąd do centrum. Myślała też o nowym liceum i o Aleksandrze, Idealny.

Jasny i Idealny.

Koniec najprostszej charakterystyki.

Jasno szare oczy, prawie przezroczyste, włosy w kolorze makaronu. Błada, chuda twarz z prościutkim nosem. Jego jasność tak bardzo kontrastuje z jego zawsze czarnymi ubraniami i z tym smutnym obsydianowym naszyjnikiem,

8

który jej dał.

Kiedy zrobiło się ciemno, zapaliła pomarańczowa lampkę solną stojącą obok łóżka. Położyła się na wznak i patrzyła na słoje boazerii na suficie, i na cienie na ścianie, podobne do ażurowych listków winogron, takich jak latem w Gruzji o smaku wina.

Drzwi otworzyły się cicho i wszedł Loki. Położył się obok niej na łóżku.

„Rany, jaki on jest podobny do kota. Chciałbym mieć takiego kota jak on” - pomyślała

- Lubisz koty, czy tak po prostu? - zapytał z uśmiechem

Odwrócił głowę i poczuła przez chwilę silniej zapach jego włosów, ciemno czekoladowych, z nierówno spłowiałymi pasmami.

Zapach siana, świeżego arbuza, deszczu i skoszonej trawy.

- Masz swój prywatny zachód słońca, siostró.

6.

Wpadli na niego w dużym centrum handlowym, szedł przed siebie szybko, rękami w kieszeniach ramoneski z nosem wycelowanym w ziemię, spojrzzeniami widzącym co najwyżej czubki zniszczonych głąbów.

- Jak fajnie, wreszcie się poznacie – zawołała - to jest Aleksander, a to mój szwagier Loki

- Dymitr Stiepanowicz - wymruczał Loki podając mu rękę i patrząc spode łba.

- Hmm... Stiepanowicz to nazwisko?

- Nie. Otcziestwo

- Eee... co?

- Otcziestwo, Aleksandrze. Mój ojciec nazywa się Stiepan, więc ja jestem Dymitr Stiepanowicz, rozumiesz?

- Takie jakby... drugie imię?

- Moja matka jest prawosławna. Nadanie dziecku dwóch imion to w jej religii to uznanie, że jeden święty nie zaopiekuje się nim odpowiednio.

- Aha - odpowiedział Aleksander patrząc na Anastazję z popłochem.

- Przejdiesz się z nami Loki? Nie wiem, co kupić dla twojego brata.

- Jasne... szwagierko.

Potargał jej ręką grzywkę.

Aleksander spojrział na niego dziwnie. Loki uśmiechał się. Tylko wargami i wcale nie wesoło..

- Tęsknisz za domem? - zapytała Lokiego,

- Nie widziałem mojego domu od prawie pięciu lat Tak, tęsknię. Ale mój dom to teraz jest nasze mieszkanie, to jesteś ty, mój brat, babunia.

- Ja tęsknię za Rosją. Nie wiem gdzie tak naprawdę jest mój dom

Ida Maria Morzyk

- Nasze domy są tam gdzie jesteśmy. Albo tam, gdzie chcielibyśmy wrócić,
 - Strasznie zimno dzisiaj - powiedział Aleksander
 - Nie wiesz co to znaczy zimno - powiedział Loki - tutaj nigdy nie jest zimno.
 - Właśnie dlatego tęsknię za Rosją. Tam jest prawdziwa zima. Tak jak w Zimnych dziadach listopadach.
 - „Zimą patrzę się na wschód bo tam jest zima najdziksza. Ja kocham Rosję za jej różnorodność
- Również dlatego opuściłem dom i jeździłem z cyrkiem twoich rodziców. Żeby ją dobrze poznać, każdym zakątku jest inaczej. A jednocześnie wszędzie jest takie samo niebo. Inne niż tutaj. I las pachnie tak samo. Inaczej niż tutaj.
- Pamiętasz jak moja siostra zakochała się w Twoim bracie, kiedy byliśmy w Gruzji? Wymyślałam się z nią nocą do winnicy twoich rodziców i patrzyliśmy w gwiazdy.
 - Muszę już iść. Do zobaczenia - odszedł szybko, skręcił w boczną uliczkę Aleksander pragnął bardzo zjednoczyć się z nią w pogardzie dla świrów, ale nie miał pewności
 - Jezu, to taka czarna owca, czy cała twoja rodzina jest taka dziwna? Rozumiałaś w ogóle co on mówi? –zapytał ostrożnie
- Spojrzała na niego gwałtownie, długo, z bólem.
- Tak, rozumiałam. Zawsze rozumiem.

7.

Anastazja kroїła wyparzone migdały. Babcia lepīła pierogi i krzyczała na ciotkę, która cześla włosa zamiast przyprawiać śledzie i bigos. „Mam nadzieję, że rodzicom uda się przyjechać”. Żałowała trochę że przyjdzie Aleksander. Zaczęła opowiadać z uśmiechem o swoim domu, o świętach i rodzinie.

Kiedy powiedział, że nie jedzie do domu i będzie w wigilię siedział w internacie przed komputerem musiała go zaprosić.

Rodzice weszli trzymając się za ręce, obydwójce jaśni, uśmiechnięci.

Potem wpadł Che, cały ośnieżony i zaczął klócić się z Mariszką.

Ponury bardziej niż zwykle Loki snuł się mrocznie po domu.

Śnieg padał coraz gęściej, Anastazja wyszła na przystanek po Aleksandra.

Irina położyła pod białym obrusem pierwsze czerwcowe sianko.

Przyszedł Nadbor z jakąś ładną, uśmiechniętą dziewczyną. Mieli oboje śnieg we włosach.

To jest Łucja - powiedział Nadbor

- Łucja Pałys - szczupła, uśmiechnięta dziewczyna z miedzianymi sprężynkami włosów, zdjęła rękawiczkę i mocno uściśnęła jej rękę.
- Wiesz co, ja ciebie chyba skądś znam?
- Przecież ona chodzi do twojej szkoły, do pierwszej klasy Żeromskiego Jest

10

młodsza od ciebie, młodsza o rok, tak jak ja.

- Miło cię poznać, Łucja - Anastazja uśmiechnęła się szeroko.

8.

Usiedli w pokoju Babuni, przy długim stole zrobionym ze wszystkich stołów w domu ustawionym w rzędzie. W jednym końcu siedli rodzice, w drugim babcia i puste miejsce po jej prawej stronie, już prawie od zawsze. Po lewej stronie taty siadł Che, Loki, Grigori, Lena i Irina, pierwsza prawnuczka. Po prawej stronie mamy usiadła Mariszka, Anastazja, Aleksander, Kasia i Nadbor.

- Brakuje mi mrozu - powiedziała Babcia, kiedy wszyscy przełamali się już opłatkiem - tam, skąd pochodzę zimą był prawdziwy mróz, tu jest tylko lekki chłodek.

Anastazja siedziała na przeciwko Lokiego. Musiała co chwilę patrzeć w jego granatowe, dziecięco szeroko jak u Iriny otwarte oczy.

- Masz piękne oczy - powiedziała babcia do Łucji - a tak jasnych włosów jak twoje jeszcze nigdy nie widziałam.- zwróciła się do Aleksandra. Wicie, podobno imiona mają magiczną moc. W chwili ich nadania zaczyna się istnieć naprawdę, zostaje się przyjętym do świata żywych. Imię to talizman na całe życie. Jak macie na imię?

-Łucja

- Łusia. Ładnie. A ty?

- Aleksander.

- Alexiej. Prawdziwe imię Parysa.

Anastazja poczuła jak mocniej ścisnął jej rękę.

9.

Wszyscy byli niewyspani po Pasterce. Zebrali się w kuchni przy dużej, klonowej ławie i każdy chciał siedzieć obok rodziców.

Mama obierała sobie jabłka i kroїła je na cząstki, wycinając gniazda, a tata robił samoloty z gazet i starał się puszczać je tak, żeby wyleciały przez uchylone okno. Che zżerał ozdoby z choinki, co jakiś czas dokuczał Mariszce, która tańczyła obok owinięta w złoty choinkowy łańcuch.

Lena i Grigori powoli zbierali się na spacer, Katia i Nadbor cicho rozmawiali, bardzo smutny Loki bawił się z Iriną.

„Szkoda że muszę ich teraz zostawić” pomyślała Anastazja czesząc włosy.

Włożyła czarną, aksamitną sukienkę, sztruksowy płaszcz i zbiegła na dół.

Kiedy wracali z teatru, z Kłopotu Pana Boga było już ciemno. Stała na chwilę i patrzyła w gwiazdy.

Zamigotał naszyjnik zrobiony z łańcucha na choinkę, tęczyowy sznur przezroczystych, nieregularnych kryształków, tak długi, że mogła go pięć razy owinać wokół szyi, a tył sięgał jej do pasa.

Ida Maria Morzyk

„Już dawno tego nie robiłam. Nie miałam czasu. Jako dziecko patrzyłam w gwiazdy co noc. W Rosji jest czystsze niebo.

I zawsze marzyłam, żeby móc patrzeć w gwiazdy z kimś... wyjątkowym, a teraz on trzyma mnie za rękę i nie czuję nic.

Dobra sztuka,

O kogo boję się, kiedy myślę o wojnie?

Pustka,

Co chciałabym ochronić?

Krzywy uśmiech Lokiego

Ten z mrużeniem oczu.

Jezus Maria!

Co ja robię?!

Jego oczy jak Niebo nad Rosją”.

Aleksander pocałował ją po raz pierwszy pod witrażowym oknem na jej własnej klatce schodowej.

10.

Wiązała powoli glany siedząc na ławie w kuchni. Spojrzała z nadzieją na czytającego Che i Lokiego, który właśnie skończył pić kawę.

- Nie poszedł by któryś z was ze mną do Empiku?

- Dobra - Loki wstał i wziął beżową arafatkę wiszącą na lodówce.

Szli powoli, ruchliwą ulicą, a śnieg padał dużymi, miękkimi płatkami.

Osiadał na włosach i rzesach, roztopiał się na ustach. Spod szarego nieba weszli w pasaż handlowy, jasny i ciepły, ozdobiony jeszcze świątecznymi dekoracjami. Szli z prądem wśród głośniego, szarego, wielogłowego stada.

- Nie lubię tłumu - powiedział Loki - ich głosy przypominają mi huk ognia w płonącym domu.

Kiedy kucnęła przy półce z fantastyką czuła jeszcze jego zapach. Jednak kiedy się odwróciła, nie było go już. Poszedł sobie.

Poszła do domu i był to smutny powrót, cały oblepiony topniejącym śniegiem i mrokiem zapadającym powoli i szaro, niezdecydowanie, niepostrzeżenie i wciąż jeszcze za wcześnie

11.

- Odprowadzę Cię.

„Śnieg stopniuje całkiem lada dzień”

- Chyba lubisz Pidżamę Porno? - zapytał Aleksander

- Lubię, ale bardziej Strachy na Lachy

- A co najbardziej?

- Chyba Nim wstanie Świt.

- Czemu?

- Na samym początku jest efekt, taki dziwny, jak rozstrojone radio,

12

ustawione pomiędzy stacjami. Kiedy byłam dzieckiem, czasami z siostrą ustawiałyśmy radio na takiej bepańskiej częstotliwości i słuchałyśmy tych pisków i trzasków. Wydawało nam się wtedy, że są to głosy, krzyki ludzi, którzy nadają ważny komunikat albo wzywają pomocy w języku, którego nikt na Ziemi mnie rozumie.

-Łał

- No i klimat tej piosenki, jej sens, wielka, nieśmiertelna nadzieja, światło w mroku. Zawsze przypomina mi scenę z Władcy Pierścieni: Frodo i Sam siedzą na zboczu Góry Przeznaczenia, Frodo nie ma już siły iść. Niebo jest purpurowe, spływa lawa, spadają płonące odłamki skał. A Sam opowiada o Shire, do którego powróca, o jego polach i rzeczulkach, o śmiechu dzieci i Róży, która wplata sobie wstążki we włosy. O Shire, w którym wszyscy teraz jedzą świeże truskawki ze śmietaną. I że muszą iść żeby tak mogło pozostać, żeby to co kochają nie przestało istnieć.

- W sumie podoba mi się twój dom.

- Już prawie się przyzwyczyłam. Cieszę się że kamienica jest taka stara, że to nie jakiś betonowy bunkier. Chociaż czasem nie chce mi się włączyć na trzecie piętro.

- Co widzisz z okna swojego pokoju?

- Akacje. Takie srebrne. Rano widzę jak kwitną.

-Jest zima.

- No to co?!

12

Mieszkanie miało dużo rzeczy z drewna. Lena z Grigorim i Iriną jak zwykle dostali osobny pokój. Kiedyś było inaczej - pomyślała Anastazja - kiedyś mieszkaliśmy we trójkę z Leną i Mariszką. Che zamieszkał z Lokim i z Naborem.

Łączyły ich wszystkich różne zależności. Lena i Nadbor zawsze się bardzo dobrze rozumieli, jednocześnie trochę izolowali się od wszystkich. Mariszka była tylko cztery lata starsza od Leny i fajnie było się z nią pośmiać, ale nikt nigdy nie wiedział co tak na prawdę myśli.

Zamieszkały teraz razem, w pokoju z oknem na wschód. W pokoju obok zamieszkał Nadbor, Che i Loki. Che i Loki zaprzyjaźnili się odkąd spotkali się po raz pierwszy. Odtąd razem snuli się ponurzy po domu, razem palili najdziwniejsze rzeczy, pili całymi nocami, jak było im źle, razem cięli się i pisali smutne wiersze. Che i Mariszka ciągle się kłócili, natomiast Anastazja i Loki zostali przyjaciółmi, jakby ich coś trwale połączyło, kiedy rozmawiali po raz pierwszy, nocą w Gruzji, w winnicy jego rodziców. Pokój babci był kwadratowy i mały. Zawsze pachniało tam kadzidłem. Najlepsza była wielka kuchnia, w której zawsze było ciepło i było dużo dobrych rzeczy. Lubiła tam

Ida Maria Morzyk

siedzieć i patrzeć na mnóstwo różnokolorowych słoików na półkach.

13.

Nadbor znalazł starą monetę. Z okresu międzywojennego. Leżała na stole kiedy weszły z Mariszką.

Usiedli wszyscy wokół niej i przyjrzeni się dobrze. Miała wytopiona kobietę w ozdobnym czepku, z misterną wstążką i wiankiem z koniczyny. Dookoła głowy miała ułożone promienie z kłosów zboża.

- Piękna - szepnęła Mariszka

- Kto to jest, ta kobieta? - zapytała Anastazja

- Nieważne

- Czy to srebro?

- Chyba tak.

- Sprawdziłeś ile to jest warte? - zapytał Che

- Koło dwustu złotych.

- Jezu! To ją sprzedaj!

- Nie - powiedział cicho Nadbor - zrobię w niej dziurkę i dam ją Kasi.

Che potargał włosy wychodzącej Mariszce.

- Chciałabym mieć taką - szepnęła Anastazja - zawsze bym ją nosiła na szyi.

Loki uśmiechnął się, mrużąc oczy.

14.

Loki złamał nogę. Babcia robiła w kuchni syrop z pierwszego podbiału.

Anastazja weszła cicho do wyjątkowo opustoszałego pokoju i usiadła ostrożnie na brzegu łóżka. Loki spał.

Patrzyła na jego ciało. Po raz pierwszy od poprzednich wakacji widziała go bez koszuli.

Patrzyła na nierównomiernie sptowiałe włosy, krzywo obcięte kosmyki sięgające aż do brunatnych sutków, na zamknięte oczy z długimi rzęsami ułożonymi na trochę zapadniętych policzkach, na prosty nos, trochę za duży i lewe ucho z kolczykiem w kształcie leżącego ptaka. Spojrzała na jego ręce, od ramion aż po nadgarstki z plecionymi bransoletkami poznaczone rzędami głębokich sznytów, układających się w dziwne kształty, niektórych starych białych, ale większość świeżych, parę zrobionych chyba wczoraj, najwyżej przedwczoraj.

- Nie patrz na to, Anastazja - oczy otworzyły się - to nie jest ważne. Na

kołdrze leżała Rzecz o mych smutnych kurwach Marqueza

- Pożyczysz mi Nie ma kto pisać do pułkownika? - zapytał

- Jasne Loki - powiedziała głaskając go po ramieniu.

15.

- Proszę.

Położył jej na dłoń coś srebrnego. Była to srebrna moneta z kobietą w wianku

z koniczyny.

- Jak to? - zawołała - przecież Nadbor dał ją Łucji
- Tę którą znalazł. Tę ja daję Tobie,
- Skąd ją masz?
- Kupilem.
- Oszalałeś?!
- Podobała ci się. Powiedziałaś że nigdy byś jej nie zdjęła
- Ona kosztowała dwieście złotych !
- Wiem. Nawet trochę więcej. I tak w tym roku nie pojechałbym do Peru,
- Przecież tak bardzo chciałeś!
- Przecież i tak nie pojechałabyś ze mną

16

- Wiesz, tylko miłość w czasach zarazy jest piękna
- Jesteś głupia. Każda miłość jest w czasach zarazy. To zaraza sprawia, że jest silna i piękna
- Mam Miłość i inne Demony
- I jak?
- Smutna.
- Opowiedz klimat. Lubię jak opowiadasz książki.
- Papierowe gołębie. I obietnica o nie ścięciu włosów aż do nocy poślubnej. Miłość jako najgorszy z demonów, demon, którego nie można pokonać. I włosy, które ścięte przemocą, rosną dalej po śmierci, i sto lat później wypływają z krypty dwudziestometrową, falistą kaskadą w kolorze miedzi. I świadomość, że będzie czekać długo na ukochanego, który po złamaniu zakonnych ślubów czystości dożyje swoich długich dni jako pielęgniarz w szpitali dla trędowatych, nie wiedząc nawet o jej śmierci.
- Ach cudowna goryczy miłości. Najgorsza z demonów, strażniczko najślodszych tajemnic życia! Wieczna ty i nieśmiertelna. Jak śmierć potężna jest miłość!
- Nie kocham Aleksandra.
- To czemu z nim jesteś?
- Bo... Tak wyszło.
- To nie w porządku co robisz. To jest złe,
- Jak mam go kochać! On jest idealny! Wszystko robi w odpowiednim czasie! To że mnie kocha powiedział mi dopiero po miesiącu, bo tak wypada, żeby mnie sprawdzić i w razie czego za bardzo się nie zaangażować! Według niego wszystko jest czarne i białe.
- Być może to jest zaraza, która da waszej miłości siłę, kiedy się narodzi. Chcesz z nim być? Myślisz że mogłabyś go kiedykolwiek pokochać?
- Nie wiem.

Ida Maria Morzyk

- Żal mi go

17

Środa.

Niebo gęste, szare, tak bardzo zachmurzone.

Wyszła ze szkoły i wsiadła w pierwszy autobus, który przyjechał.

Rodzice nie przyjadą.

Autobus wiózł ją na południe miasta i trochę na wschód, w kierunku porośniętej sosnami góry z wielkim

przełącznikiem radiowym na szczycie

„Jezu, jak mi źle”

Zobaczyła przez okno śmieszne wzgórze, jakby hałda usypana z gruzu, z kilkoma krzywymi drzewami na

wierzchołku. Wsiadła na końcowym przystanku. Zbierało się na deszcz.

To nic, zmoknie i będzie jej lżej.

Wzgórze było zajęte przez jakiś lumpów. Poszła dalej przez pola. Wdrapała się po zboczu.

Jutro się obudzi i babcia upiecze chleb. Zaczną wszyscy sprzątać.

Szczyt był płaską łąką z szarą zamurowaną studnią na środku

Porozmawia porządnie z Che, z Lokim, z Manszką. Poczyta. Może pójda w piątek na mszę.

Szła przez łąkę aż doszła na jej krawędź. Pod jej stopami otworzyła się przepaść. Ogromny opuszczony kamieniołom. Wiatr huczał w skałach, rozwiewał jej włosy. Stąd nazwa tego kamieniołomu.

Pójda z Leną ze święconką w Wielką Sobotę. A potem z Naborem na spacer.

Postanowiła obejść kamieniołom wkoło. Za każdym zakrętem pojawiał się następny.

W niedzielę przed świtem pójda wszyscy do Katedry. Nie, pójda do tego kościoła na wzgórzu, z którego kiedyś wydobywano galenę.

Szła przez płaski, wąski grzbiet, ścieżką nad przepaścią, na granicy. Z ziemi wyrastały wysokie na trzy metry krzaki wikliny, wszędzie pod stopami leżały puste, zwapniałe muszelki ślimaków i omszałe kości. Wspięła się na stromy wzgórek. Jego szczyt był szpiczasty, z kamienną płytą popękaną, rozoraną korzeniami głogu, który lada dzień zablyśnie kwitnąć i wtedy nadejdą zimne dni

Płyta podobna do samotnego grobu wydzwigniętego ku niebu.

Noga omsknęła się jej i sturlała się po zboczu. Leżała w dolince na brzuchu.

Kiedy otworzyła oczy zobaczyła obok swojej twarzy twarz z kamienia, kamienną głowę naturalnej wielkości, z oczami bez źrenic, u półotwartymi ustami i obtłuczonym nosem. Głowa kamiennej dziewczyny, która kiedyś

była Matką Boską albo cmentarnym aniołem. Wokół leżały odłamki kamienia, kamienne dłonie i stopy, potłuczone hebrajskie tablice. Złomowisko posągów. Cmentarzysko cmentarnych rzeźb.

Obok stał dom bez okien i drzwi, a z komina sączył się dym.

Przeskoczyła zieloną barierkę. Nie było nikogo oprócz dwóch pijaków kradnących żwir.

Szła przez pola, grzęznąąc w mokrej ziemi.

Wiatr zatrzepotał jej płaszczem, zachwiała się. Spojrzała w prawo i zobaczyła zamek z wieżyczkami, średniowieczny, ale zbudowany jakby wczoraj.

Zaczęła się burza.

18

Kiedy otworzyła drzwi i weszła, owiało ją ciepło domu. Otrzeptała się jak pies.

Woda kapiąca z butów i ubrania tworzyła wokoło nóg zimna kałużę. Na korytarz wybiegli Che i Mariszka. Stanęli pod żarówką, trzymając się za ręce, oblani od góry światłem tak jasnym, że stawali się nierzeczywiści.

- Kocham ją!!! -Zawołał Che - Bierzemy ślub!!! Będziesz naszą druhną?

Anastazja usiadła na drewnianym taborecie i zaczęła głośno, rozpaczliwie płakać,

19

W Wielki Czwartek obudziła się przed dziewiątą. Wszyscy spali jeszcze, więc miała trochę czasu przed rozpoczęciem generalnego sprzątnia. W kuchni potknęła się o zapakowany plecak

- Proszę, zjedz ze mną śniadanie - powiedział Loki.

Usiedli przy stole i zaczęli jeść ciasto w trzech rodzajach, popijając herbatą z dzikiej róży. Potem zrobili sobie kakao.

Z radia płynął Mozart. Świeciło słońce. Było cicho, ciepło, dobrze. Rozmawiali spokojnie, przy łagodnych dźwiękach, tak jakby ta rozmowa nie miała się nigdy skończyć. Stali się starymi przyjaciółmi, którzy przywykli do siebie, mogli śmiać się razem, a nawet trzymać się za rękę, gdyby tylko chcieli. Rozmawiali o filozofii i o sztuce. O wielkim kamieniołomie i o deszczu. Wszystko było dobrze

- Jadę w góry. Impuls, chwila

- Mogę jechać z tobą?

Ukrył twarz w dłoniach

- Błagam Cię! Muszę się zastanowić nad wieloma rzeczami. Nie daję sobie rady ze sobą, ze wszystkim, z tym że... że muszę... że patrzę. Chcę to chociaż trochę ułożyć. Twoje życie jest poukładane.

- Nieprawda!!!- krzyknęła - nic nie jest poukładane!!! Wszystko jest nie tak!

Ja już nie mogę.

- Nie krzycz, obudzisz wszystkich, a ja chcę cicho wyjść. Zadzwoń na łyżeczką

Ida Maria Morzyk

o pusty kubek

- Przepraszam. Masz - podał jej płytę Carrantuohill Between.- Najfajniejsza jest piąta piosenka.

- The Wild Mountam Thyme - przeczytała pochyłe niestaranne pismo

Lokiego - Góra dzikiego tymianku - tobie by się bardziej przydała na drogę.

- Przepaliłem sobie. Będziemy jej słuchać razem.

Przez okno opadało złociste światło.

20

Ta Wielkanoc miała być wyjątkowa. Chciała cieszyć się drobiazgami. Pobyć z rodziną, od której się odsunęła, przeczytać parę rzeczy, zjeść dużo smakołyków, pochodzić po mieście, napisać do mamy, zrobić wreszcie coś z Aleksandrem.

Było bardzo smutno. Przespała całe święta. Wszystko toczyło się wokół niej, tak bardzo obok. Śmiech innych, życie innych. Wszyscy cieszyli się, jedli jajko, gratulowali Che i Mariszce.

Zasnęła w czwartek,

We wtorek o świcie wrócił Loki. Aż do zmierzchu siedzieli na dachu i puszczali bańki mydlane.

21

- Aleksander? Pójdiesz ze mną dzisiaj na ten rezerwat w starym kamieniołomie, na tym nowoczesnym osiedlu na zachodzie miasta?

- Dzisiaj?!

- No.

- Jutro mamy trzy klasówki i dwa wypracowania. A jest już po piątej, bo późno kończymy.

- Wiem.

- Możemy iść jutro.

- Nie chcę. Ja idę dzisiaj, bo teraz mam ochotę.

- Ty się w ogóle nie uczysz!!!

- Uhm Wiem. To nie idziesz?

- No nie!

- Się obejdzie. I tak byś nic nie zrozumiał.

- Jesteś nieodpowiedzialna! Weź się do roboty, bo wstyd mi za ciebie!

Założyła czarna ramoneskę i zawiązała na pagonie czerwoną bandankę. Na rogu ulicy, na niskim murku stał Loki i grał na skrzypcach. Przerwał, kiedy nadeszła.

- Dokąd idziesz, piękna?

- Na zachodzie miasta jest takie nowe osiedle; a na nim rezerwat w starym kamieniołomie. Pójdiesz ze mną?

Schował skrzypce do futerału i wsiadł z nią w nadjeżdżający autobus. Szli

18

długą zakrzywioną uliczką, na której niskie, stare ceglane domki otoczone drzewami powoli przemieniały się w stare zakłady przemysłowe. Weszli na wysoki wiadukt, z którego widać było całą tę część miasta i największa w tej części kraju przetoki kolejowe, ciągnące się aż po góry na horyzoncie, nad którymi widać było w ostatnich promieniach chłonce pasma deszczu ciekącego z ciemnych chmur toczącej się w oddali burzy Weszli na zielone wzgórze i poszli wąską ścieżką w tunelu kwitnącego głogu i dzikiej róży. Zeszli po długich, stromych schodkach wykutych w kamieniu. Usiedli na dnie. Było cicho jak w szklance.

- Przyjeżdżają tu wycieczki ze wszystkich szkół geologicznych w Polsce - powiedział Loki - Normalnie skały osadzają się pionowo. A tutaj osadziły się w każdy możliwy sposób tylko nie pionowo.

Siedzieli na dnie, jak ludzkie żaby, dopóki nie zaszło słońce. Potem wstali i poszli do domu. Loki odwrócił się jeszcze na chwilę,

- Jak tysiąc katedr odwróconych Jezusami w dół. Albo jak jedna porządna przepaść ustawiona we właściwą stronę.

22

- Wiesz co, podziwiam Cię.

- Czemu? - przerwał na chwilę grę na harmonijce

- Bo masz odwagę się buntować

- Odwaga to nie wszystko. Mądrości pozwala buntować się przeciwko temu, co wymaga zmian

- Jakoś przycichłeś ostatnio. Mniej pijesz. Mniej palisz. Nie śpiewasz nocą, słuchasz Slayera w słuchawkach.

- Widzisz, zaczęło mnie męczyć bycie buntownikiem bez powodu. Nie ma lepszego sposobu żeby regularnie dostawać w pysk za niewinność. I za dużą odpowiedzialność za społeczeństwo. Nie uważasz że czas się ustatkować?

- Nie poznaję cię. Jarałeś coś ?

- Skądże.

- A oprócz tych wszystkich wspaniałych przymiotów i poprawy twego charakteru jesteś pięć razy bardziej ponury niż zwykle.

- Jak to mówią, powrót do szeregu zawsze boli. Powrotem z rewolucji towarzyszy smutek, katar i uciążliwa sraczka.

- Rewolucja jest jak rower - jeśli nie posuwa się, upada.

- Odkąd to czytujesz mądrości Ernesto Guevary?

- Loki, czy ciebie czasami nie wyrzucają ze szkoły?

- Nie, ani trochę,

- A matura?

- Nie bój się. Pod warstwą ignorancji i nonkonformizmu ukrywam pokłady żywej inteligencji i kujoństwa zrodzonego z żądzy wiedzy.

Ida Maria Morzyk

- Nie wątpię. Zobaczysz jaki z ciebie mieszczański konformista wyrośnie. Zostaniesz pewnie biznesmenem w garniturze.

- Nie obrażaj mnie. Najważniejsze to pozostać sobą. Po co mam się popisywać, demonstrować; że kpie sobie z zasad, z racji innych? Buntować się sztuka dla sztuka. Są rzeczy za które warto cierpieć, umrzeć, ale są i takie, które nie są warte, żeby za nie wpaść w kałuże. Najważniejsze to nie dać światu zgasić sobie prywatnego ognia.

- Co jest twoim ogniem, Loki?

- Kaskada rudych włosów, które widzę zamiast zaćmienia słońca, kiedy tylko zamykam powieki.

23

Siedzieli w kuchni pod pękami suchych ziół. Che i Mariszka Klócili się zawzięcie o to, czy żeby być wielkim filozofem trzeba również być nierobem.

- Zerwałam z Aleksandrem. - szepnęła Anastazja

- Mogę tylko powtórzyć to, co już kiedyś powiedziałem - powiedział Loki - żal mi go.

Było jej smutno. Zmiany w domu zaszły niemal niepostrzeżenie, za jej plecami.

Mariszka i Che coraz częściej znikali gdzieś razem, łóżko ciotki stało puste w nocy.

A kiedy spała po drugiej stronie ściany spał Che. I rano przedzieleni tylko ścianą wylegiwali się, pisali, klnąc, artykuły do tej samej gazety i śmiali się sami do siebie.

Kiedy się ochajtą – pomyślała - będzie mi bardzo brakować nocnych rozmów. A Loki straci przyjaciela

- Powiedz Loki dlaczego doceniamy coś dopiero jak to tracimy?

- Nie wiem. Wiesz, myślałem, że wam się jakoś ułoży.

- Daj spokój, bracie.

24

- Loki? Pamiętasz zakończenie Rzeczy o mych smutnych dziwkach?

- Spotkał tą prostytutkę, z którą kiedyś sypiał, a ta powiedziała mu „Idź do niej - głupcze, zobacz jak to jest kochać się z miłości”. Powiedział

właścicielce domku publicznego, że sprzeda swój dom i odkupi jej zakład.

Ta odpowiedziała, że pójdą na układ i dostanie go to z nich, które przeżyje drugie. Nie zgodził się, powiedział, że chce żeby po jego śmierci dostała go Delgerdina. Zaśmiała się i powiedziała, że kocha dziewczynkę jak córkę.

„Szukaj jej - powiedziała - przecież kocha cię odkąd po raz pierwszy zobaczyłeś jak śpi”. Szedł do domu w ciepły, spokojny dzień, o nogi ocierał się jego kot, który zdechl w zeszłym tygodniu. A kiedy wszedł do domu, w

złoty promieniach słońca indiańska służąca, z którą przez całe życie

20

współżył analnie śpiewała na całe gardło wesołą piosenkę.

- To znaczy że umarł prawda? Musiał umrzeć żeby marzenia się spełniły? Żeby być szczęśliwym.

- Chyba tak. I nawet w marzeniach nie połączył się z Delgerdiną. Tylko zrozumiał, że ona go kocha. I jeśli mamy rację, jeśli umarł, to odszedł a ona została, już się nigdy nie spotkają,

- Oni nigdy...

- Nigdy. Patrzył tylko jak śpi

- Co by się stało, gdybyś umarł? Jakie marzenia by się spełniły?

-A ty?

- Rodzice by wrócili, byłabym lepsza dla wszystkich, zobaczyłabym Afrykę, znalazłabym dzwoneczek, który zgubiłam jako dziecko. Lato byłoby ciepłe. Mogłabym porozmawiać z dziadkiem.

- Kiedy umrę, będę szedł tunelem szmaragdowych kasztanowców i będzie padał bardzo ciepłym pachnący ozonem deszcz, ale wokół nie będzie szaro. Będzie kwitła dzika róża. I głóg, ale wcale nie będzie zimno. Będą miał kieszenie pełne czereśni. Po pniach drzew będą się wspinać takie maleńkie złote ślimaki. Zobaczę znów rodziców. Porozmawiam z Grigorim tak jak dawniej. Pobawię się z czarnym, kudłatym szczurem, którego kiedyś miałem. Będę całą noc pił wino z morwy, a potem patrzył w gwiazdy. Po raz pierwszy zobaczę wschód słońca. Przeczytam książkę o islamie. Obejrzę Co gryzie Gilberta Greape'a. Ożenię się z tobą. Przebiegnę się z kimś po łące trzymając się za ręce, a potem cały wieczór będę jadł gotowaną kukurydzę. Wiesz co, gdyby to była prawda, gdyby wystarczyło tylko umrzeć, to warto by było, i daj Boże jak najprędzej.

25

Siedziała w pokoju babci ściany były fioletowe, z kolorowymi makatkami.

Lubiła ten pokój, lubiła każdy pokój babci.

„Po niej w ogóle nie widać ile ma lat, tylko włosy ma siwe, i te parę zmarszczek, ale jest z nimi nadał ładna” - pomyślała

- Wiesz, Anastazja, z tobą jest źle, jesteś bardziej chora na duszy.

- Wiem, babciu. I nie wiem, co mi jest.

- Pamiętasz Tristana i Izoldę

- Pewnie.

- Jak się skończyło?

- Z grobu Tristana wyrósł głóg i wrósł grób Izoldy.

- Wiesz co ja myślę, że im to już było wszystko jedno, co z nich wyrosło.

Chodzi mi o to co było wcześniej.

-To znaczy?

- Nie pokonasz miłości

Ida Maria Morzyk

- Słucham?

- Nie pokonasz. Odłóżysz wszelką broń. Ona jest potężna jak śmieć i wieczna, nigdy się nie kończy, wszystko przetrzyma, nie boi się bólu i upokorzenia, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, Anastazja. Nie pokonasz jej, odłóż bron, już zbyt wiele spłonęło wiosek, poddaj się nim sploniesz.

25

- Idziesz ze mną oglądać meteoryty?

-A babcia?

- Babunia się zgodziła.

- Idę.

- Weź sweter

Weszli na wzgórze i położyli się na trawie. Niebo było ciemne, czyste, pełne srebrno błękitnych świateł.

- Chcesz, ułożę dla ciebie wiersz:

Latem ludzie palą tu światła w oknach
długo w noc i nie widać ich dobrze
tych najmniejszych z gwiazd, nawet jeśli
położysz się na plecach ma swoim tarasie.
Dopiero wiosna i jesień daje światłom imiona.
Jesienią zaczynają tu wiać zimne wiatry
i silne prądy.
Wiosną widać wszystkie konstelacje wśród zboża.
I chociaż latem woda jest mniej lepka
To zimą nigdy już cię tu nie spotkam.

- Piękny

Dotknął monety na jej szyi

- Nosisz ją,

- Jeszcze ci nie podziękowałam

- Kiedyś to zrobisz

- Kocham gwiazdy.

-Ja też

- Czuję jakieś dobro, ciszę, ciepło

- Anastazja?

- No?

- Śpij tu dzisiaj ze mną,

- Dobrze,

Leżała z głową opartą na jego ramieniu. Objął ją, żeby nie zmarzła.

„Jestem jak driada - pomyślała - przytulam się tylko po to, by odnaleźć

ciepło”

22

- Nie jesteś jak driada - powiedział Loki - one są zimne.

26

- Przeziębilem się w nocy - powiedział z uśmiechem, kiedy usiadła na jego łóżku - i chyba zaczyna mi się angina. Słońce wpadło przez okno, pachniał jaśmin, kwitły akacje. Wiatr przynosił ich srebrne kwiaty przez otwarte okno.

Loki uśmiechał się całą twarzą. Włosy mu urosły. Zbladła większość blizn na jego rękach.

Przejrzała leżącą na koldrze Kronikę zapowiedzianej śmierci.

- Pożyczysz mi potem?

- Jasne.

Przesunęła dłonią po jego klatce piersiowej

- Nigdy cię nie oszukam

- I co ? - spojrzała na niego - teraz powiesz, że mnie nie kochasz, ale jestem bardzo piękna?

- Bardzo cię kocham. Nie wiem czy jesteś piękna. Według mnie tak Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, pomyślałem, że właśnie tak powinna wyglądać czarownica. Kocham cię od pięciu, prawie sześciu lat. Kiedy zobaczyłem cię wtedy, w Gruzji, bałem się co się stanie, kiedy odejdziesz. Wtedy, ze strachu i bólu narodziła się nadzieja. Kazała mi rzucić wszystko i iść za tobą. Na koniec świata. Powinnaś teraz powiedzieć, że och Bożą, gdybym wiedziała, gdybym się domyślała, przecież ty nigdy...

- Nigdy nie ukrywałeś tego przede mną,

Położyła się obok niego na łóżku. Spojrzał na nią poważnie, szeroko otwartymi oczami.

- Zadam ci teraz pytanie, na które odpowiedz będzie obowiązywała dla mnie do końca życia.

27

Dużo, dużo później.

Kiedy w białej sukience, i Słońce ich błogosławiło, i księżyc też tam był i wszystkie gwiazdy nieba i kiedy tańczyła, nie żałowała nigdy.

Światło przenikało im włosy, rude i brązowe, a potem białe, co roku pachniała morwa, śmiały się ich dzieci i nigdy nie żałowała, że powiedziała tak, zanim usłyszała pytanie.

Czesław Markiewicz

Wiedza o Polsce i Świecie Współczesnym

Lekcja patriotyzmu. Opus Pierwsze.

Dwunastoletnia dziewczynka zaprasza dwunastoletniego chłopca do sypialni na truskawki ze śmietaną.
Chłopiec idzie z ulicy Garibaldiiego na ulicę Dąbrowskiego.
Dziewczynka wprowadza chłopca do pluszowego domu.
Chłopiec zanurza łyżeczkę w biało-czerwoną orgię kolorów.
Na widok wykluwających się spod bluzki smaków
robi mu się słodko pod językiem. Ściąga z niej oba warkoczyki.
Na bladej twarzy dziewczynki pojawia się amarantowy rumieniec.
Chłopcu ścieka z ust pierwsza kadrowa kropla śliny.
Lance krwi utrzymuje jeszcze na wodzy. Zachowuje to na później.
Tak jak dziewczynka teraz pozbywa się amarantu
z rozmarynowych ze strachu policzków.

A Katarzyna F. jest jeszcze dziewicą –

Lekcja patriotyzmu. Opus Drugie.

Zaledwie pełnoletni mężczyzna ogląda z ojcem mecz piłki nożnej.
Programowo nie patrzy w ekran telewizora. Kontestuje obserwacją
ojca który podczas hymnu państwowego wychodzi
do kuchni po schłodzone w poprzedniej epoce puszki piwa.
Osiemnastoletni mężczyzna już to wie bez otwierania podręczników.
Ojciec podnosi do ust puszkę – nasi strzelają.
Ojciec gniecie puszkę – strzelają naszym.
Ojciec rzuca puszką w ekran – nasi polegli.
Osiemnastoletni mężczyzna zbiera porzewiałe puszki po ojcu.

A Kazimierz G. opuszcza we Lwowie lekcję wychowania fizycznego –

Lekcja patriotyzmu. Opus Trzecie.

Staruszka ogląda politykę w telewizji.
Na ekranie dwóch takich rzuca po twarzach słowami.
Jest po dwudziestej drugiej. Staruszka wycisza dwóm takim racje.
Przygląda się niemym krzywiznom ust.
Między wargami szuka przestrzeni dla siebie.
Usta poruszają się w przyśpieszonym tempie. Staruszka nie nadaża.

Z przerażeniem łapie jednak jakiś strzęp cmentarza.
Dwóch takich użyło do tego przekleństwa.
Staruszka nie wierzy. Robi znak krzyża na ekranie.
Następnego dnia ogląda powtórkę. Nie słyszy przekleństwa.
Na cały regulator robi znak krzyża na swojej piersi.
I dziękuje ich wspólnemu Bogu.

A Wojciech J. przyznaje się do winy –

Obywatel czwarty

przeraża mnie cisza pod podłogą pod ziemią
cisza pod sklepieniem za ścianą
cisza pod żebrami w lędźwiach w cieniu za plecami
opasa głowę jak równik kiribati gabon i nauru
aż słyszę za ścianą szczęk broni
rozpadające kości mamutów
stukanie dziecięcia w kraty pod powieką
przerażenie ma smak palonego piołunu
kolor zachodzącego w kąciku ust słońca
świat widzę wyraźniej w przerażeniu daleko
z bliska żadnego powiatu gminy i ojczyzny żadnej
przerażenie jak samotność sąsiada w nowym jorku

bo ktoś się po ludzku odezwał
poprosił o szklankę wody
albo otworzył okno
z widokiem na śmietnik
albo włączył telewizor
z prognozą pogody
albo spojrzał głęboko w oczy
po samo dno rowu mariańskiego

Czesław Markiewicz

Język polski

ktoś. kogo nie ma.
oczekiwany jak pierwsza komunia kobiety: tej kobiety,
obdziera mnie ze skóry; z oczu sypie się sól. katedra ziemi:
tej ziemi. usta sznuruje przyływ gniewu. po słusznej stronie głowy
trybuni o policzalnych obliczach tracą moją twarz.
słyszę ich garnitury – nienagannie przelewana w próżnię pustkę.
grożą mi gruzami. a ja bezbożnym palcem próbuję nanizać tę kobietę:
to może być nasza matka – dwukolorowa kobieta bierzowana czarną sukienką;
to może jest matka boska spod ściany obwieszanej łzami;
to być może moja ojczyzna wypływa z siebie płęć.
więc wciskam jej między uda krwawiący kawałek dekalogu.
pies zlizuje krew z chodnika. po policzkach spływa ocet.

wszystko się ze wszystkim miesza:
– groch ze ścianą – dziad z obrazem – bez z nadzieją –
tylko śpieszący kochać nieprzetłumaczalnie pyta: czy chrząszcze idą do nieba?

ktoś. kropla po kropli. wisła wylewa europą. chociaż mnie tam nie ma.
bez skóry. ze wskazującym palcem języka. na kłodce.
obcięty kawałek szeleszczącego przemilczenia,

którego nikt nie zliże – po tamtej obiecanej stronie;
po tej stronie warg – niewytłumaczalna kobieta;
ktoś. kogo nie ma. jak pożądanie.

Nie znam waszej mowy

miasto nigdy nie było moje
z domu okolonego miejscowym rynsztokiem
zostałem wywieziony na porodówkę
tak już zostało
przestrzeń między pierwszą ulicą
a tamtą z cmentarzem i stadionem żużlowym
zabudowana czasem betonem szkłem

kiedy opuszczam je na długość składu pociągów do skądinąd
na chwilę bywa moje
kiedy wracam przez okamgnienie wydaje się obce
wtedy jest najbardziej moje
jak myśl pewnego belgijskiego pisarza
który nazwał swoje europejskie samopoczucie renem
domyśliłem się że szło mu o wielką rzekę
nurt co wzbiera i opada z jeszcze większym impetem

skarcił mnie oraz wszystkie bez wyjątku rynsztoki mojego miasta
za osobliwie barbarzyńskie przywiązanie do miejsca
nazwał to mentalnością wielkiego drzewa
prawdę mówiąc wielkie drzewo było moim pomysłem
belgijski pisarz mówił o skarłałym dębie
z nienaturalnie wielkimi korzeniami
przez czas odczytu belgijskiego pisarza

w miejskiej bibliotece publicznej
wydawało mi się że go rozumiem
zapraǳiałem opuścić moje miasto
nie przeszkadzała nawet kategoria mężczyzny
w średnim wieku zresztą belgijski pisarz
na pierwszy rzut oka wyglądał na starszego ode mnie
był tylko bardziej wymuskany przez reformacyjny absolut

po powrocie na tę samą ciągle tę samą ulicę
mojego miasta zrezygnowałem
ze wszystkiego przecież nie znam języków
przypomniałem sobie w czystej angielszczyźnie
ze stosownie europejskim akcentem

Michał Nowak

Projekcje

Na ostatnim widzeniu, bo potem pakowali dziadka Mariana do trumny,
dziadek Czesio wydukał: „niedługo do ciebie przyjdę mój przyjacielu”,

na ostatnie lata siadali w kuchni i robili ćwiartkę, a ja wiedziałem,
że tej przyjaźni nie rozdmucha żadne słowo, kobieta, koniec,

na ostatnie prośby zimy dziadek Czesio sadził pomidory w pojemniczkach,
kolekcjonował, dłużył w ziemi, dzielił ziarenka przed wiosną, a wiosną
stworzenie ruszyło całą parą,

a dziadek Marian trochę był i trochę go nie było, trochę pił ćwiartkę,
trochę opowiadał o Apoloni, która podawała mu chleb i jabłka przez szparę
w obozie, trochę chwalił pomidory, trochę głośno marzył, że nasi trochę
rozbiją catenachio i trochę zjedzą canarhinos,

a trochę nic takiego nie miało miejsca,

z żółtych pojemniczków wylażyły pierwsze zielone łodyżki,
dziadek Czesio nadzorował, a my

przekopywaliśmy ziemię

Pory

I

Obecnie jest tak nijak i bylejak, że nie zdziwiłbym się gdyby z miejsca,
w którym stoję wystrzelił korek światła i wzdłuż rzeki Długiej
wypalił trawę na której kiedyś sypialiśmy, i gdyby słońce
wyssało rzekę a na miejsce zmarłych załęgłyby się inne bakterie,

nie zdziwiłbym się, gdyby zarósł na twarzy wyraz, który pojawiał się
przy pierwszym zetknięciu rąk, moich z twoimi, przy pierwszym
szukaniu piegów i pieprzyków na odkrytym ciele, i gdybym nagle
z dobrej stał się trudną partią do rozegrania, ugrania,

nie zdziwiłbym się, gdyby rzeka Długa rozłożyła się na pierwsze części
małych rybek i kijanek, i gdyby uszły gdzieś teksty ze św. Franciszka
a nagromadziły się suche wydarzenia i samochody pułapki,
i gdyby na miejsce zmarłych załęgły się następne pory roku.

Michał Nowak

Wujek Gienek,

ten z lat 80' kojarzy mi się z insuliną
i z wieczornymi bibami na posesji.
Wtedy, w dzieciństwie z emocją słuchałem wiązaneek
przekleństw wuja i przy żarówce oglądałem
kabaret z wkluwaniem.]

W drugi dzień świąt przywieźli wuja do nas z domu
opieki – „a gdzie Stasiu, gdzie jest mój Stasiu?”

Babcia mówiła że [to dla dobra Gienska,
bo by się wydenerwował i schowajcie
wódke, niech nie widzi, niech mi nikt nie warknie
nawet o śmierci Staszka, mówcie, że jest
w sanatorium, dochodzi do siebie]

„ale gdzie kurwa jest Stasiu, gdzie on jest?” -
głos wuja łamał się
jak kawałki chleba przy kolacji.
A ja malowałem w głowie zdanie

- które utknęło -

że gdyby tak od ducha strony,
to sam chciałbym wiedzieć,
gdzie Staszek teraz jest?

- utknął -

jak to złożone zdanie

jak rybie ostki w naszych gardłach?

Artur Żukowski,

Żuku, na początku lat 90' XX w. mieszkał na osiedlu Dąbrowskiego, trenował kick-boxing i, jako że był to dobry kumpel kumpla mojego brata, raz w piwnicznym klubie dostałem od niego po ryju]

[na początku lat 90' XX w. graliśmy z nim w nogę przy dwójce, a tam wierzby, piasek, rzeka, kopnął tak, że panu Bogu w okno, że wybił piłkę za ogrodzenie na sam środek rzeki, biegliśmy wnerwieni za piłką prawie km]

[na początku XXI w. pojechał na wojnę, nie trzeba być geniuszem żeby przewidzieć to co się stało, co uogólni podręcznik do historii]

[jak mi wtedy sieknął to rzeczywiście zobaczyłem ptaszki i gwiazdki nad głową, potem podał mi rękawicę, podniósł z knock-outu i przeprosił, u nas nikt go nie ruszał, tutaj był nie do zdarcia]

po retrospekcjach siadam do stołu, podchodzi burza pod osiedle, a dalekie ptaki na zachmurzonym niebie przypominają komary i muszki owocówki, podchodzi burza pod klatkę, upewniam się czy okno jest domknięte, chociaż nie lubię domkniętych okien,

Michał Lersth

Marsjanin i politycy

człowiek jest zwierzęciem politycznym
polityka dzieli się na wielką małą i podejrzaną

polityka jest wszędzie
na pierwszych stronach gazet
na drugich stronach gazet
i przede wszystkim w telewizji

jedni politycy mówią że są lewicowi
drudzy że są prawicowi
jeszcze inni raz są lewicowi
a po chwili robią się prawicowi
lub odwrotnie
najczęściej jednak politycy są łysi
i skorumpowani

Głównym produktem polityków
są obietniczki cacanki

można obiecywać różne rzeczy
złote rybki
gwiazdki z nieba
gruszki na wierzbie

w obietniczkach cacankach
specjalizują się
prezydenci premierzy i ministrowie

politycy powinni pracować mózgami
najczęściej jednak zamiast mózgów mają
kalafiory

promieniuje z nich ciemność

Marsjanin rozmyśla o ziemskich świętych

niektórych ludzi nazywają świętymi

konserwuje się ich i podaje za przykład
do naśladowania

święci zanim zostali świętymi
nie byli tacy święci

na przykład święty augustyn miał nieślubnego
syna
święta małgorzata z kortony grzeszyła
kilka razy dziennie
podobnie jak święty konstantyn

żeby zostać świętym trzeba uwierzyć w boga

święci są bardzo różni

święty sebastian nadziewany jest strzałami
święty karol boromeusz grał pięknie na wiolonczeli
a święty franciszek z asyżu rozdał majątek i został
poverello

w najlepszym stanie jest święta bernadetta z lourdes
posmarowana woskiem wygląda jak nowa chociaż dawno
nie żyje

nieświęci mówią o świętych
że rosną jak grzyby po deszczu
i wkrótce nie będzie miał kto paść świń

świnia jest pozioma
służy człowiekowi do jedzenia
nigdy nie była święta
w przeciwieństwie do krowy

Michał Lerszt

Marsjanin opowiada o głodnym człowieku

pionowy człowiek odżywia się
za pomocą rąk ust i zębów

żeby żyć musi jeść
żeby jeść musi zabijać

jedni zabijają tylko mięso
drudzy zabijają tylko rośliny
inni jedno i drugie

jedzenie dzieli się na miękkie i twarde
miękkie są jabłka
twarde są kości

najwięcej jedzenia jest w płaskich domkach
pod tytułem mcdonalds

człowiek może być chudy albo gruby

chudzi żyją dłużej ale jedzą krócej
grubi żyją krócej ale jedzą dłużej

jeść jest bardzo niezdrowo
kto je ten umiera ale kto nie je
umiera jeszcze bardziej

patrzac na zboże człowiek myśli o chlebie
patrzac na rzekę myśli o rybach
patrzac na krowę myśli o mleku
patrzac na świnię myśli o kielbasie

swoją ofiarę człowiek wybiera
kierując się apetytem

przed każdym posiłkiem człowiek mówi
do drugiego człowieka – smacznego

największym łakomczuchem na ziemi jest ogień
smakuje mu wszystko prócz wody

Marsjanin opowiada o stworzeniu świata

na początku było nic
potem nastąpił big bang
w wyniku wielkiego wybuchu
powstał wszechświat

wszechświat nadziewany jest galaktykami
galaktyki zamieszkałe są przez słońca
księżyce komety planety i czarne dziury

planeta ziemia podzielona jest na kontynenty
które wyrastają z mórz i oceanów

na ziemi z jednej żywej komórki
w głębinach oceanu zlepionej pierwotnie
z martwych minerałów i soli
powstały miliony gatunków
roślin i zwierząt

według pionowych ludzi
jest to dzieło natury lub boga

różni ludzie nazywają boga różnymi imionami
na przykład – allah indra brahma jehowa

ludzie rozmnażają się co dziewięć miesięcy
są ich miliardy
różnokolorowi i różnojęzyczni
wszyscy oddychają tlenem który produkuje
fitoplankton

poza tym ziemią rządzą osmoza i grawitacja
czyli perpetuum mobile

Michał Lersth

istnieje również instynkt
genetyczny dryf
i mikroskopijne geny
przyczepione do chromosomów

to dzięki temu wszystkiemu
na ziemi jest tak jak jest

pionowi ludzie dzielą się na platonów
sokratesów szekspirów napoleonów hitlerów andersenów
stalinów mozartów bachów beethovenów
rembrandtów warholów chaplinów fellinich hitchcoców
bergmanów spielbergów presleyów i beatlesów
czyli na dzieci i dorosłych
dorośli tęsknią za ciemną stroną świata
dzieci za jasną
w związku z tym życie kosztuje coraz drożej

po śmierci wszystko jest za darmo

Więcej światła

Coś się dzieje. W oknach Mietka pali się po północy. W środku przesuwają się cienie. Miga ekran telewizora. Ale w ogóle – cisza. Mietek normalnie chodzi spać zaraz po wiadomościach w telewizji. Wiem, która to godzina, bo Mietek ma wykupiony w kablówce najtańszy, podstawowy pakiet, a jest wierny staremu porządkowi i ogląda tylko telewizję państwową. Akurat nie z przyzwyczajenia. Mietek chełpi się swoją, jak to nazywa, ideowością.

- Wiesz – mówił – po wojnie trzydzieści milionów Polaków oszukało gdzieś ze trzy miliony, a po „Solidarności” te same trzy miliony wykolegowało pozostałe, już czterdzieści milionów. Oto cały marksistowski rachunek różniczkowy! A będzie coraz gorzej, bo nie ma w tym żadnej filozofii. Puścili nas z torbami, i to igelitowymi, ale za to z supermarketów!

Boję się w związku z tym o Mietka. Albo mu coś odbiło, albo ktoś go niespodziewanie nawiedził. Gdyby to była jakaś dupa, tym bardziej zasłoniłby okna, i tak przezroczystymi, chociaż sakramencko brudnymi firanami. Swoją drogą jakaś dupa przydałaby się Mietkowi. Zrobił się jakiś nerwowy i w ogóle się zaniedbał. Podejrzewam, że nawet przestał się myć – czuć go capem. A nie ma nic gorszego od niemytych genitaliów – jak kulturalnie krzywi się Stycowa z parteru. Najbardziej jedzie w autobusach, bo tramwajów w naszym mieście nie ma.

Wypaliłem już drugiego papierosa, a w oknach Mietka bez zmian. Jeszcze ten cholerny billboard. Od kiedy pamiętam, to znaczy od zamontowania planszy, a będzie ze trzy lata, zawsze przed pierwszym listopada musiałem, chciałem czy nie chciałem, wlepić gały w ogromny znicz. Najgorsze, że był wyskalowany, że niby taki duży, pali się cholera wie ile, i jeszcze wiatr mu nie przeszkadza. W tym roku nie inaczej. Tyle, że zawsze pojawiała się coś

Czesław Markiewicz

nowego, mniej więcej w dwutygodniowych odstępach. Teraz, od listopada – bez zmian. Jakby nie minął dzień zmarłych, nie przyszło lato, w ogóle do dupy. Szczerze mówiąc nie dałbym głowy, że to ten sam billboard co roku, ale słowo honoru: zapamiętam kształt, wymiary, nawet sobie zanotuję i – niech tam – porównam w przyszłym roku. Jak dożyję, oczywiście. Bo to, kurwa mać – jak sobie pomyślę – nie wiadomo. Metrowy znicz! Co najmniej metrowy. Podświetlony jak Bóg wie, co. Widoczny już od skrzyżowania. O to chyba tym gnojom od reklamy chodzi. Że im się w ogóle opłaca? Przecież takie znicze to groszowa sprawa, a umrzyków w mieście – jak wszystkiego – na lekarstwo.

Coś się naprawdę dzieje. Matka już w ogóle nie wychodzi z łóżka. Martwi się. Jest koniec lipca, a na początku maja wyspała w kasetony na balkonie kilka paczek pachnącego groszku. Były za darmo w jakiejś gazecie, to pozbierała je od sąsiadek i zasadziła. Sąsiadki, jak leci, posadziły, drogie jeszcze w czerwcu, pnące pelargonie. Teraz na wszystkich balkonach kwiatów jak much na starej srace, a groszek matki tylko się poskręcał, zielone węże oplotły metalowe pręty, ale za cholerę nie kwitnie. A miało pachnieć. Matka zrzędzi, że nic już nie zakwitnie, nawet do października. A ja się upieram, że zakwitnie. No, bo jak może być inaczej? Groszek nie człowiek, nie zwali na komunę, ma zaszary obowiązek kwitnąć! Ale coś jest na rzeczy, bo na grubszych pędach, u nasad niby pąków, pojawiły się całe słupy mszyc. Łodygi całe czarne i dziwnie się poruszają, same z siebie, bez wiatru, znaczy, że te mszyce są żywe i albo się masowo pieprzą, albo łążą bez sensu z góry na dół. Szlag by to trafił!

Coś musi się dziać. Stycowa, sama, jak nigdy, siedzi na ławce przed klatką schodową i pije kawę. Wrzątek. Upał jak cholera, a ona podnosi gorącą

szklankę. Nie parzy jej. Styc słucha na cały ryj „Radia Maryja”. Każdą kwestię jakiegoś gadającego ojca kwituje wrzaskliwymi „kurwami”. Taki namiętny, że aż warto położyć, gdyby mieć, co najmniej piątkę na niedzielną tacę, w intencji rodziny „Radia Maryja”. Stycowie, w ogóle święci. Tylko Mietek miał wątpliwości. Kiedyś nie wytrzymał. Kiedy z „Radia Maryja” rzeźiło jakieś kato disco, Mietek jakoś to połączył z kobietami, bo dziwnie Styc gustował w takiej muzyce. I wtedy Mietek powiedział:

- Rock jest jak nieprzewidywalna kochanka, jazz jak małomówna kobieta, a disco polo, kato disco i inne takie, to żona, dajmy na to, po dziesięciu latach małżeństwa.

A Stycowa patrzy w okna Mietka.

- Widzi pan? – pyta mnie.

- No – odpowiadam.

Gównu mnie obchodzi, co ma na myśli Stycowa. Widzę, co widzę. Moja sprawa. Martwię się o Mietka – a myślę o sobie. Tak mi jakoś wychodzi. Nie mam na to wpływu. Samo się tłucze po łbie, natrętnie, jak wyrzuty sumienia albo kac.

Na dworze robi się ciemno. W oknach Mietka ciągle to światło. Teraz nawet jakby jeszcze intensywniejsze. Jakaś paskudna, świetlista aureola.

Nie ma co palić. Wychodzę przed klatkę, od kilku dni nie padało, to kipy będą suche, najpewniej przy ławce. Na szczęście Stycowa pali jak smok, ale jak to baba, zostawia długie kipy.

- Chodź pan, poczęstuję – odzywa się, kiedy ukradkiem schyłam się przy ławce.

Że jej nie zauważyłem w oknie! Czuję się upokorzony, niech jeszcze ta świątobliwa zdzira powie o tym matce. Już ją słyszę!

Czesław Markiewicz

- Stary byku, wziąłbyś się za jakąś robotę, a nie ludzkie śmieci zbierał.

Psia mać! Na szczęście matka nie wyłazi z tego swojego wyra. Ma do mnie pretensje. Zauważyła, że od wczoraj wystaję w oknie i gapię się, co tam widać naprzeciwko. Jak się wychyla z pokoju widzi, że coś miga po drugiej stronie. Wie, że to od telewizora. To ma pretensje, że sobie beczelnie oglądam u Mietka, przez ulicę. Coś tam rzeczywiście widać, ale ani mi w głowie teraz oglądać telewizję. Matka niech sobie tak myśli, to nawet dobrze, przecież nie powiem jej, że martwię się o Mietka.

Coś się niedobrego dzieje. Matka naraz mówi, że jeszcze trochę, a zwariuje z nudów. Jakaś się zrobiła refleksyjna, nagle. Ja nudzę się prawie od urodzenia i co z tego?!

- Nieśmiertelnie się nudzę! – tłumaczę.

To matka chce żebym jej poczytał. Na głos – jak zwykle. Mam tylko jakieś biografie, co mi je wypożyczył Mietek. Strasznie zdziwiony, że takie porządne rzeczy ludzie wyrzucają na śmietnik. Dawniej, rzadko, ale trafiało się coś, też porządnego. To Mietek od razu zanosił do antykwariatu i brał niezłą kasę. Teraz nawet za nowiutką książkę, zaraz spod druku, chociaż wyrzuconą, na przykład normalnie po cztery dychy, facet cholera wie dlaczego z „Saskiego” akurat tutaj, a nie w jakiejś Warszawie, antykwariatu, daje piątkę. Złodziej. Mówi, że sprzedaje za szóstkę, czyli ma ledwie zetkę dla siebie. Ale chyba nie bajeruje, bo nie wygląda na wypasionego i jeździ starym fiatem.

Całe życie Apollinaire’a matka poznała. Dumna była z tego słuchania, bo koleś był polskim bękartem i wyzarł się na świecie, chociaż naprawdę dopiero jak go szlag trafił. A jakoś matce nie przeszkadzało, że darmożjad. Teraz chce żebym jej czytał o Picassie. No to zaczynam ze spisu treści pytać, czy

mam czytać o Maladze, La Corunii albo Barcelonie? A matka mi na to, żebym jej znalazł ten kawałek jak Picasso nie umie gadać w Paryżu po francusku i zamiast do swojej kochanki powiedzieć „chodź, chodź”, mówi „chuć, chuć”. Aż mnie zatkało. Skąd matka taka nagle uczona? Widać udaje, że bez okularów nie widzi. Czyta pewnie franca ukradkiem, jak ja roboty szukam! Nie mogę znaleźć kawałka z kochanką, ale książka otwiera się sama na rozdziale „Życie tułacze”, akurat tam, gdzie Picasso pisze, niby po francusku, do jakiegoś francuskiego znajomka Jacoba, jak w Barcelonie hiszpańskie głupole nie rozumieją jego obrazów: „Pokazuję to co robię moim przyjaciołom artystom z tą. Ale oni uważaj że jest za duża dusza a nie forma. Jestto bardzo śmieszne wiesz, muwić z takimi ludzmi ale oni pisze książki bardzo zły i maluj głupie obrazy”. Tak właśnie, nie inaczej. Matka mówi żebym się nie wygłupiał i czytał jak należy. A ja jeszcze raz, tak samo.

- Widzisz – mówię – taki wielki, a jak musiał po francusku, to prawie analfabeta.

Matka burczy pod nosem, że opowiadam pierdoły.

- Sam jesteś analfabeta! – podnosi głos i nie chce dalej słuchać.

Jest coraz gorzej. Styc już od rana katuje „Radiem Maryja”. Stycowa ucieka tym razem trzepać dywan. Styc nie jest głupi. Wie, co robi. Jest emerytowanym nauczycielem techniki. Ma nawet uprawnienia strzeleckie, pozwolenie na broń i jest przewodniczącym komitetu blokowego. Katolik. Ale normalny. Stycowa, za to – dewotka. Kiedyś była normalna, jak Styc. Ale jak się Rydzyk wślinił na fale, coś jej odbiło. Mówi, że wreszcie zrozumiała. Mietek mówił, że coś w tym musi być, bo cała kupa porządnych ludzi też jakby zrozumiała. Wszyscy klepią biedę i modlitwy klepią – powtarzał. Styc uważa inaczej.

Czesław Markiewicz

- Za dużo tego naraz – mówi.

Chce wyleczyć żonę. To ją leczy „Radiem Maryja”. Na zasadzie klina – chociaż sam nie pije. Styc ma taką nadzieję, że jak stara będzie od rana do nocy słuchać ojców, to się wreszcie wyrzyga tą prawdą. Póki co, to na razie sąsiedzi zatykają tylko uszy, a na policję nie da rady dać znać, bo Styc punktualnie o dziesiątej wieczorem gasi radio. Sam pomaga sobie tymi „kurwami”. Jak wrzaśnie z całej siły, zaraz mu ulży. Zresztą i tak się z tego porządnie wypowiada u Franciszkanów. Oni akurat pasują Stycowi, bo nawet psy na polowych mszach tolerują. To nawet dobrze, że Styca nie stać na jakąś giwerę, bo jest duże prawdopodobieństwo, że mógłby zastrzelić Stycową. Mądry, a nie wpadł, że można po prostu wywalić radio na śmietnik, razem z tymi wszystkimi – kurwa mać – prawdami, niewartymi zetki, bo nijak kasy jak nie ma, tak nie ma. I żadnej nadziei.

- Jezus Maria! – zdarza się w tej intencji zgrzeszyć nadaremnym wezwaniem matce. Że niby mam już cztery dychy na karku, a nawet głupiego telewizora nie ma, tylko ta jej marna renta.

- Dobrze i to – pocieszam matkę jak mogę. - Coś jednak po tej komunie zostało.

Mietek miał na to swój pogląd. Kogoś tam z książek powtarzał, że niby żyło się marnie, ale za to istotnie. Ja przynajmniej nie należałem do Partii. A Mietek jak był, tak jest za socjalizmem. Tak żeby było co zjeść i pooglądać w telewizji.

Nie wiem. Coś się szykuje. Albo to jakieś znaki z nieba, albo z piekła, albo jakaś inna cholera. Coś na przykład, ni z tego ni z owego, wylewa się spod kibla. Niewiele tego, nawet nie śmierdzi. Szukam po rurach, sprawdzam uszczelki, wkładam łapę gdzie się da – i nic! Wszędzie sucho, a spod kibla

cieknie. Na środku łazienki robi się kałuża. Matka trzęsie się ze strachu, że zalejemy Styców. Pal sześć, że Styc nas zjebie jak burek sukę, najgorsze, że chałupa nieubezpieczona i bulić trzeba będzie za wymalowanie Stycom sufitu. Uspokajam matkę, że kałuża na zalanie za mała. Matka swoje wie. Płacze.

- Jeszcze tylko tego brakuje, żeby nas główna zalała – szlocha.

Żal mi matki. Bo nawet z łóżka się ruszyła. Musiało ją naprawdę wziąć. No to się z tego żalu poważnie koncentruję. Wycieram kałużę, spuszczam wodę i wybałuszam profesjonalnie gały, skąd cieknie. Oczywiście spod kibla. A tam nie ma żadnej możliwości! Jakby się muszla pocila! Nic nie rozumiem.

- Nawet tego nie potrafisz – wjeżdża mi na ambicję matka.

Nic nie mówię, bo nie chcę przy niej przeklinać. Spuszczam wodę i wycieram. Spuszczam i wycieram. W kółko. Między spuszczeniem a wycieraniem – myślę. Matka już nawet nie płacze. Siedzi na wannie i kiwa się jak sierota. Przestaję myśleć i nagle widzę matkę jako małą dziewczynkę, która coś zgubiła i jest zrozpaczona. Albo jakoś tak. Samo z siebie mi się bierze żeby ją przytulić. Kładę głowę na ramieniu matki, chcę przytulić się do jej policzka, a ona na to:

- Idź do cholery!

No to znowu spuszczam wodę. Nie zdążyłem pociągnąć szmatą, znaczy wytrzeć, a pod kiblem, w najgrubszej rurze coś zabalgotało, jakby wessało jakąś szmatę czy coś. Kończę wycieranie. Spuszczam wodę. I jest sucho. I tak jeszcze ze trzy razy. Sucho i już. Matka zdziwiona. Ja dumny. Niby nic nie zrobiłem, a się przetkało. Nie mówię tego na głos, ale od początku czułem, że się przetka. I tyle! Matka znowu zaczyna płakać. Ma swoje wytłumaczenie.

- Pewnie zdechły szczur zatkał kanalizę – mówi.

- Pewnie! Zaraz szczur! – jak tylko to powiedziałem, od samego gadania

Czesław Markiewicz

ciarki poszły mi po plecach. - Co szczur! – wrzeszczę. – A teraz? Poszedł sobie? Odpłynął?

- Nie – mówi matka. – Rozpuścił się – dodaje spokojna.

I chuj! Myślę po cichu.

Nie ma nic. Albo – jest nic. Jak mnie zawsze po polsku poprawiał Mietek. Bo skoro nie ma nic, to jest wszystko. Nie ma nawet głupiego szczęścia. Takiego od kominiarza, kota i tak dalej. Nie dalej jak w przeszłą niedzielę, tym bardziej w niedzielę, minąłem dwóch kominiarzy. Dwóch naraz! No to będzie podwójnie – pomyślałem. Nawiasem – skąd się skurczybyki wzięli w niedzielę? Komu w święty dzień trzeba było grzebać w kominie? Nie moja sprawa. Złapałem za guzik, akurat miałem tylko przy rozporoku. Jeszcze baba w okularach i dym z komina. Szedłem i szedłem, a baby w okularach za cholere. Wreszcie się napatoczyła, ale w słonecznych. Co mi tam – zaliczyłem. Z dymem kiepsko. Lato. Jaki głupi rozpalałby w piecu? Zresztą naokoło wszędzie gaz i centralne. No to zaliczyłem dym z papierosa, co go puszczał gość na przystanku. Jeszcze w tą samą niedzielę wdepnąłem przepisowo w rasowe, pewnie psie gówno na trawniku. A wieczorem próbował mi przeciąć łożenie czarny kot. Może był szary, ale zmierzchało i wydawał mi się czarny. Też go zaliczyłem. To znaczy cofnąłem się, odczekałem i poszedłem inną, chociaż dłuższą drogą. Zapamiętałem wszystko, jak sen powtórzony po obudzeniu, do samiotkiewj środy. Podebrałem matce dychę i wypaliłem do kolektury. Była kumulacja. Jakaś z grubsza siódemka. Wykupiłem na wariata cztery zakłady. Cztery sam skreśliłem. Wszystko było: data urodzin matki, moja data, numer klatki, domu, wiek matki, znaczy pojedyncze cyfry, osobno, bo liczba za duża, z moją datą – niestety – tak samo. Puściłem. Styc mi spisał wieczorem z „Polsatu” wszystko, co trzeba.

I gówno. Nawet trójki nie miałem. Zrozumiałem od razu. Kominiarze w niedzielę, to pewnie przebierańcy. Okulary słoneczne, to nie okulary. Gówno musi być ludzkie. A kot był bez ogona. I ten guzik, po świńsku, przy rozporoku! Szczęścia nie oszukasz.

W ogóle to w tej zakichanej kolekturze śmierdzi biedą. Zawsze czuć stary, ludzki pot. Milionerzy! Poza tym, co ja bym zrobił z taką forszą? Chociaż, ja wiem? Musiałbym powiedzieć Mietkowi. Mietek miał na wszystko jakiś pogląd. Coś tam zawsze czytał. O świecie sporo wiedział, chociaż niewiele świata widział. Nawet jak coś żarł myślał światowo. Byle co, taniocha w torebkach z jakimiś proszkami, ale zawsze z obcymi napisami. I wtedy mówił:

- Indie, proszę ja ciebie, to gorzko-słodki smak. Chiny, słodko-kwaśny. Południe Europy, to smak kwaśny, prawie jak wszystko w basenie Morza Śródziemnego. A u nas: kwas, kiszonka.

Za Chiny Ludowe nikt nie wiedział, o co chodzi, ale skoro Mietek tak mówił, tak musiało być.

Jest źle. Zaczepił mnie Styc. Przy ławce. Już tam siedziała jego żona. Pomyślałem, że będzie pytał czy widzę to, co widać w oknach Mietka. Ale nie. Odcignął mnie kawałek od ławki, żeby nas nie zagłuszało „Radio Maryja” i żeby Stycowa nie słyszała. I zaczęło się. Mówił, że Stycowa zrobiła się tęskniąca. Uważa, że tutaj jest wielkie zadupie, menelstwo i w ogóle umieralnia. W mieście i na osiedlu. Ona chce do Krakowa. Tam będzie chodzić do „Jamy Michalika”, po Rynku, żegnać się pod Kościołem Mariackim i takie różne duperele. Bo tam wszystko jest naprawdę. Jak to powiedział, podciągnął mnie z powrotem pod ławkę, tak żeby teraz Stycowa słyszała. I wykrzykiwał. Że chodzenie do „Michalika” to siara. Że żaden porządny Krakus do „Jamy” nie chodzi. Że pod Mariackim żegna się tylko wiocha. Że wszyscy, co się nie

Czesław Markiewicz

urodzili w Krakowie to zwykła stonka, oblazi Wawel, Sukiennice, Skałkę i całuje w dupę Smoka Wawelskiego, jak stopy Pana Boga. A naprawdę, to ważne jest pod nosem, tam gdzie się urodziło, gdzie, co trzeba po raz pierwszy się zobaczyło, ale do tego trzeba mieć rozum!

- A ty babo jesteś zwykłym dupkiem i snobem! – wypalił jej prosto w twarz. Stycowa tylko się uśmiechnęła.

- Co ty wiesz, nigdzie nie byłeś – powiedziała spokojnie.

- Bo jestem tutaj – odpowiedział Styc.

Ale Stycowa tego nie usłyszała, bo Stycy zagłuszył ojciec klepiący jakąś modlitwę z kobitami na podkładzie. Chciałem Stycowi powiedzieć Bóg zapłać, ale jakoś zrezygnowałem. A nuż zrozumieją opatrnie – pomyślałem ze strachem. Tym bardziej, że Mietek też nigdzie nie był. To jak mu wierzyć? Każdy, kto chciał mógł go mieć w dupie, a Stycowej wszyscy się kłaniali i mówili „Szczęść Boże”.

Coś się musi dziać! Jakby czas stanął w miejscu: nie zmieniają znicza na billboardzie, spod kibla tryska źródło, oznaki szczęścia nieszczęśliwe, kwiaty w środku lata nie zakwitają, matka z nudów za dużo rozumie. Dość! A wszystko pod żywą nieobecność Mietka! Jego milczenie niczego przecież nie tłumaczy.

Nie mogłem już czekać. Za długo i za dużo tego światła w oknach Mietka. Jeśli Styc się zorientuje, będzie sprawa urzędowa. Az administracją? Wiadomo. Coś musiałem zrobić. Ale co? Nie chciałem płoszyć Mietka. Może naprawdę coś ważnego działo się za jego oknami.

Wybrałem najprostsze rozwiązanie. Po prostu poszedłem do niego. Zapukałem – jak nigdy. Słyszałem tylko telewizor. Nic poza tym. Pewnie nie słyszy – pomyślałem. Nagle przeleciało mi przez głowę najgorsze podejrzenie.

Że wcześniej na to nie wpadłem! Sama myśl tak mnie przeraziła, że bez zastanowienia pchnąłem drzwi. W pokoju nie było nikogo. Jeszcze tylko łazienka, kibel i kuchnia. Wszędzie pusto! Znaczący Mietka przez cały ten czas nie było w domu?! Zostawił otwarte drzwi! Sprawdzały się moje przeczucia. Od kiedy pamiętam Mietka, czyli od zawsze, nigdy nigdzie się nie ruszał. Jeśli zniknął, to tylko gdzieś w mieście. Dalej, tylko do lasu – najpierw na jagody, później na grzyby. Zwróciłem uwagę na stół. Było posprzątane. Żadnych flaszek, szklanek, talerzy, popielniczki. Nic. Poza złożoną na pół dużą kartką papieru. Zesztywniałem. To był list od Mietka. Za dużo filmów w życiu widziałem, żeby nie wiedzieć, co to znaczy. Żeby to nagła cholera! Ale Mietek? Każdy stąd, ale nie on. Za dużo wiedział o życiu, żeby się od razu wszystkiego pozbywać. No, ale nawet Stycowa zaczęła nagle za czymś tam tęsknić. Jednak bałem się rozłożyć papier. W końcu nie wytrzymałem. „Do wszystkich, czyli do tego, co będzie to czytał” – zaadresował Mietek. Rozłożyłem papier. „Zbyt wiele poznałem pasji życia wielkich ludzi” – pisał Mietek. „Szala się przechylała! Najwięksi, których lubiłem byli biedniejsi ode mnie. Ja tu sobie żyję prawie w luksusie! A kim ja jestem? Zwykłym głupolem produkującym siarkowodór. Niczym sobie na to nie zasłużyłem. Naprawdę nawet nie byłem nigdy głodny, nie marzłem, nie bałem się, nie groziła mi śmierć! Wystarczy! Odchodzę. Tułaczka – tego jeszcze nie poznałem. Bez adresu, bez ludzi, których znam i którzy mnie znają. Inaczej nie mogę. Za dużo wolności! Dam znać, co z tego zostanie. Coś się przecież musi stać w życiu! A więc jeszcze raz: odchodzę! Będę szukać sensu. Kto chce może iść za mną”.

Co to znaczy? O co, kurwa mać, chodzi Mietkowi? – zastanawiałem się. Najważniejsze, że nie zrobił nic głupiego. Zresztą cholera go wie. Siedziałem

Czesław Markiewicz

z godzinę z tym papierem od Mietka w ręku i nic mądrego nie przychodziło mi do głowy. Ale jakoś dziwnie mu zazdrościłem. Zazdrościłem mu coraz bardziej. Ale za cholerę nie wiedziałem czego!

Z tego wszystkiego podszedłem do okna. Bezwiednie spojrzałem naprzeciwko, w górę. W okna swojego mieszkania. W oknie w kuchni zobaczyłem matkę. Stała nieruchoma. Patrzyła. Jakby mnie nie widziała. Może myślała, że to Mietek? Ja widziałem ją wyraźnie. Najwyraźniej w świetle. I kiedy tak ją wyraźnie widziałem, coraz wyraźniej – jakbym mniej zazdrościł Mietkowi. Nawet się przestraszyłem tej wcześniejszej zazdrości. Przecież nie bałem się matki!

Nie zrobiłem nic. Wychodząc wyłączyłem telewizor, w ogóle pogasiłem wszystkie światła. W przedpokoju zorientowałem się, że Mietek nie wziął ze sobą kluczy. Wisiały na gwoździu obok lustra. Wbijały się w oczy. Jakby Mietek tego chciał. Zamknąłem drzwi na klucz i wróciłem do domu.

- Wróciłeś – powiedziała, dziwnie patrząc mi głęboko w oczy, matka. - Co słyhać u Mietka? – dodała jeszcze dziwniej.

- Jak widzisz, nic się nie stało – odpowiedziałem.

- Jak zawsze – szepnęła. – No to poczytaj mi trochę – uśmiechnęła się, jakby coś z tego wszystkiego zrozumiała.

Przyczynek do krytyki fantomów

Człowiek współczesny zatracił możliwość kontaktu nie tylko z „naturą samą”, lecz także z kulturą w postaci czystej, naturalnej, by nie rzec — kulturą-naturą, o ile takowa w ogóle kiedykolwiek istniała. Denaturacja natury, miast wznieść ludzkość na wyższe, bardziej higieniczne stadia rozwoju, doprowadziła do zanieczyszczenia, dekulturacji i alienacji. Opiewana przez apologetów nowych mediów „intertekstualność” w swej praktycznej realizacji okazała się niczym innym, jak siłą unicestwiającą, owocującą nawarstwieniem cytatów, wzajemnych odniesień i w efekcie — nudą. Tekst, gruntownie zdeformowany przez postmodernistów dostarczył giętkiego tworzywa dla reklamowych gier i aluzji; hermeneutyka — została pożarta przez konsumpcję i zastąpiona abstrakcyjną analizą strukturalną bądź obcowaniem z medium — fasadowym, materialnym nośnikiem lub urządzeniem. Dawny *logos* wyparło Logo — skumulowany, prosty i wielokulturowo czytelny odpowiednik.

Obserwowany ów proces jest nie tyle dekompozycją tekstu (łac. *textus* = tkanka, tkanina), co jego rozpadem, rozpuszczaniem, destrukcją w całej objętości tkanki. Komunikacja traci swój linearny charakter, staje się skłębiona, rozgałęziona i bezładna. Pozostające generyczne tworzywo — przędza, bawełniane włókna (wł. *bavella*, niem. *Bavel*, *Bafel*, jjid. *buwel* lub po polsku — bubel) nie przedstawia już większej wartości i nadaje się jedynie do wtórnego przetworzenia. Jest bublelem — fascynującym, bo niedoskonałym przedmiotem, swoistą powłoką, wydmuszką, fantomem. Przypomina groteskowe anatomiczne *écorché* z florenckiego muzeum¹, w których ręka rzeźbiarza-anatoma zawarła w sposób zwięzły skomplikowaną prawdę na temat tego, co naturalne i pełne znaczeń.

W sytuacji, gdy jedynym ratunkiem zaspokojenia rosnącej konsumpcji okazuje się być oferowanie produktów bezwartościowych, w których związek między treścią a formą został definitywnie zatarty, gdy każdy przedmiot nowoczesnego handlu jest potencjalnym bublelem — kicz i tandeta przestają być wyłącznie kategoriami ocennymi. Stają się autonomiczną rzeczywistością, a ich oddziaływanie nabiera charakteru wszechogarniającego i normatywnego, tak, iż nie ma już znaczenia, czy tandetność przedmiotu polegać będzie jedynie na wypraniu z treści, czy też na tak doskonałym jego zespoleniu z brandem, iż niemożliwy stanie się epistemologiczny dostęp do prawdy o produkcie (o tym, że atak ma charakter kompleksowy świadczy fakt, że równoległe przy pomocy tzw. *flavourów* manipuluje się smakiem i zapachem najczęściej

Piotr Biegasiewicz

spożywanych produktów). Jak pisze Naomi Klein, autorka głośnej książki „No logo”, ów proces zacierania znaczeń rozpoczął się dawno i trwa równoległe z industrializacją i umasowieniem produkcji, ucieczką od konkurencji cenowej oraz generowaniem zapotrzebowania na odróżnianie wystandaryzowanych i jednakowych produktów za pomocą reklamy².

Zakaźność mediów, zaniepokojonych najwyraźniej wyczuwalną społecznie dezaprobatą dla wytrzebienia przekazu z treści i sklejenia kiczowatej zawartości z semiotycznym „gwałtem przez oczy”, narasta konsekwentnie. Rynek innowacyjnej reklamy anektuje coraz to nowe terytoria — począwszy od wymyślnych etykiet, przez bilbordy, teasery i bannery, na subtelniejszych formach, jak wewnętrzny PR, brand setting i ghostwriting kończąc, czyniąc je wszystkimi nowymi mediami, o jakich nie mógł śnić nawet Marshall McLuhan. Medialne „kreowanie świata” czy podprogowe manipulacje w reklamie, będące jeszcze niedawno przedmiotem powszechnych lamentów, wydają się dziś ledwie igraszką.

Swoistą ciekawostką jest, iż już w latach 30. powstała w USA pierwsza konsumencka organizacja (Consumer Research), stawiająca sobie za cel „naukowe” i obiektywne badania nie natury, lecz właśnie produktów oraz ich jednoznaczny klasyfikację i oznakowanie, w oderwaniu od reklamowych sloganów. Gdzież tam dzisiejszym zblazowanym i hojnie sponsorowanym magazynom konsumenckim do tego niedoścignętego, chociaż, przynajmniej, utopijnego ideału! Jedynie w szczególnie delikatnym i drażliwym, a jednocześnie kosztownym i finansowanym z publicznej kasy sektorze, jakim jest ochrona zdrowia, można mówić dziś o załączkach obiektywnej oceny i informacji (Health Technology Assessment).

Tandeta i fasadowość towarów nie kłóci się bynajmniej z możliwością zarabiania na ich sprzedaży, o czym przekonuje istnienie całego szeregu wyspecjalizowanych korporacji w rodzaju Fischer Trading Group, skupujących zewsząd buble i towary słabo rotujące. W końcu bubel, zgodnie ze swoją definicją to tylko „towa odrzucony ze względu na istotne wady jakościowe, bądź też bezwartościowy, nietrafiony”, zalegający długo na półkach sklepowych („półkownik”), co czyni zeń idealny obiekt promocji. Namacalnym i znanym każdemu przykładem z polskiego podwórka mogą być np. świetnie prosperujące księgarnie „taniej książki”, w której żywota swojego obok banalnych powiastek kobiecych dokonują nieczytane dzieła św. Tomasza z Akwinu czy Martina Heideggera.

Proces postępującej fantomatyzacji i eksterioryzacji rzeczywistości, opisany trafnie przez S. Lema (co prawda w związku z eksperymentami

narkotycznymi³) czy w innej wersji przez J. Baudrillarda (w „Precesji symulakrów”⁴) nie jest bynajmniej wymysłem epoki nowoczesnej. Jest to raczej immanentna cecha kultury, przejawiająca się w ciągłej tranzykcji od znaków o charakterze naturalnym („oznaki”) do znaków o organizacji wyższej (przykładem jest wynalezienie druku i związana z nim wizualizacja znaków pierwotnie oralnych). Naturalną kolejną rzeczą jest zatem przesunięcie siedziby fikcji ze sfery semantyki w sferę nośnika (medium is the message, jak powiedział McLuhan). Nigdy jednak w historii niezbywalne residuum w postaci szczątkowego signifiant (np. oralności) nie zostało tak drastycznie amputowane, nigdy też nowa organizacja nie zyskiwała tak ścisłej konsystencji, jak to widzimy obecnie w przekazie marketingowo-reklamowym. Słusznie zauważa Naomi Klein, że „marka przybrała formę kulturowej gąbki, nasiąkającej treścią i dostosowującej swoje znieczulające działanie do oczekiwań otoczenia”⁵.

Wymownym symbolem współczesnej fantomatycznej konsumpcji jest supermarket meblowy IKEA, w którym znajdujemy atrapy książek, pozorne przedmioty codziennego użytku, a nawet gotowe aranżacje całych pomieszczeń. Są one co prawda zbudowane z rzeczywistych sprzętów, jednakże nie naśladują żadnej rzeczywistej przestrzeni, lecz jedynie konfiguracje istniejące w wyobraźni kupujących. Przechadzka po IKEI przypomina wizytę w muzeum współczesnej historii naturalnej: każdy ma możliwość fizycznego obcowania z eksponatami dokumentującymi aspiracje socjalne przeciętnego kowalskiego. Co ciekawe, również oferowany produkt jest wyimitowany — w powszechnej opinii meble te uchodzą za tandetne i mało solidne.

Po iluzjonistyczno-fantomatyczne hochstaplerstwo równie często jak copywriterzy i handlowcy sięgają obecnie artyści i wrogowie Logo. Deformacja znaku — czy to jako działanie twórcze, czy też prowokacja kulturowa, ukazuje jego fasadowość (tylko to, co fasadowe, pozbawione, kośćca można zdeformować) i — na powrót — umożliwia rozdzielenie tego, co sklejone. Takie semiotyczne détournement, rozpoczęte pod koniec lat 60. przez Guy Deborda i sytuacjonistów, polega na wyjmowaniu przedmiotów i przekazów z ich pierwotnego kontekstu, co pozwala radykalnie zmieniać ich sens⁶. Zauważmy, że tę samą poetykę stosują artyści, by przywołać tu sięgającego do narodowych lęków i mitów Tomasza Kozaka (słynne „Wprowadź mnie do głębszych nocy”), czy przetwarzającego per analogiam elementy popkultury i tradycji Z. Libere (Auschwitz z klocków Lego, instalacje czy fałszywe numery czasopism, równie dobrze mogące być uznane za formę komizmu!). Fascynacja manekinami, będąca motywem licznych dzieł, od „Traktatu o manekinach” Brunona Schulza, przez somnabule Rene Marguite’a i fotografie Natalii

Piotr Biegasiewicz

Jagodzińskiej, na słynnych plastynatach von Hagens kończąc, znane każdemu popkulturowe instalacje Andy Warhola, czy wreszcie ukazujące się we Wrocławiu „fantomatyczne” pismo Rita Baum — oto garść innych, nieco chaotycznych przykładów kulturowej fantomatyzacji i manipulacji „codziennymi” znaczeniami przedmiotów. Podobnych przykładów z różnych obszarów życia można by podać jeszcze wiele, dlatego warto na koniec przytoczyć kilka „praktycznych” zastosowań opisywanych zabiegów w obrębie medycyny (to mój prywatny kaprys).

Jak wiadomo, patologia, będąca centralną kategorią sztuki lekarskiej, jest niczym innym, jak imitacją fizjologii, nieudolnym naśladowaniem życia w odpowiedzi na zmienione warunki zewnętrzne. Swoistym destylatem tej wyzwolonej z okowów homeostazy nieporadności jest nowotwór, uważany przez starożytnych za *error loci* — „błąd miejsca”, nieprawidłową implantację prawidłowej tkanki, a więc element sztuczny, mimo iż zbudowany z komórek przypominających prawidłowe. W semiotyce lekarskiej — jest to nauka zajmująca się opisem i klasyfikacją objawów chorobowych — od dawna znane są zjawiska symulacji (w tym słynny zespół Münhausena) i dysymulacji oraz tzw. maski chorobowe, oznaczające przebieg danej choroby pod nietypową wiązką objawów. Zaburzenia kognitywnej percepcji mapy ciała po odjęciu kończyny prowadzi do tzw. bólów fantomowych czy wręcz wrażenia nieistniejących kończyn (skutek reorganizacji map korowych i braku hamowania). Wiele zaburzeń psychosomatycznych (zespół jelita drażliwego, przewlekłego zmęczenia, uporczywy świąd odbytu) ma również fantomatyczny charakter — trudno znaleźć w nich zarówno czynnik wywołujący, jak i uchwytne klinicznie objawy choroby.

Od dawna „imitację życia” zwykło się leczyć — zarówno lekami, jaki i imitacjami leków, działającymi dzięki efektowi placebo. Placebo odpowiada, według różnych szacunków, za kilkanaście do kilkudziesięciu procent wszystkich wyleczeń, obecnie zaś nabiera coraz większego znaczenia w związku z rozwojem i komercjalizacją rynku badań klinicznych, w których jest koniecznym odniesieniem w porównaniach skuteczności leków. Popularne ostatnio pojęcie „leków generycznych” oznacza z kolei „fantomowe” farmaceutyki produkowane (zazwyczaj pod podobnie brzmiącą nazwą) po wygaśnięciu patentów na leki oryginalne (polskiej wersji doczekała się już nawet słynna viagra). W tym jednak przypadku „odmarkowanie” odbiło się na rynku leków czkawką — wg szacunków WHO, co najmniej 7 proc. preparatów znajdujących się w światowym obrocie to nielegalne podróbki i imitacje⁷.

Inny, niezmiernie fascynujący „fantomatyczny” rozdział nowej medycyny to implantacje ciał obcych do wnętrza ciała ludzkiego, od banalnych protez poczynając, przez sztuczne narządy, tkanki i biochipy, na transplantologii i cyborgizacji kończąc⁸ (American Association for Advancement of Science poświęciło zresztą temu zagadnieniu jeden z paneli dorocznego sympozjum w lutym 2005 r.). Innowacyjne techniki diagnostyczne, takie jak wirtualne obrazowanie czy planowanie zabiegów oraz edukacyjne (Virtual Human Project, nowe manekiny treningowe) już dziś posługują się matematycznie sformalizowanymi *écorchés*; z drugiej zaś strony na całym świecie prowadzi się badania mające na celu stworzenie kompletnego modelu człowieka i choroby na poziomie redukcjonistycznym (proteomika, metabolomika i wiele innych).

Prototypowa konsekwencja przyrostu informacji, obserwowana w świecie kultury i sztuki w postaci przechodzenia od znaków naturalnych do modeli, fantomów i podróbek jest, jak widać, tendencją uniwersalną, dotyczącą w zasadzie każdego aspektu działalności ludzkiej.

¹ A. Wieczorkiewicz, *Muzeum ludzkich ciał*, słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 2000, ss. 161-167 oraz Ameisenowa Z., *Problem modeli anatomicznych „écorchés” i trzy statuetki w Bibliotece Jagiellońskiej*, Warszawa 1962.

² N. Klein, „No logo”, ss. 23-26.

³ S. Lem, *Summa technologiae*

⁴ Baudrillard itd.

⁵ Klein, s. 35.

⁶ Tamże, s. 300.

⁷ „Tabletka fikcji w pigułce” [w:] Tygodnik „Wprost”, Nr 1106 (08 lutego 2004).

⁸ „Cyborgizacja i implanty. Ciało ludzkie na progu nowego milenium”, Michał Kreczmar (<http://www.cyber.com.pl/archiwum/6/7.shtml>) – autor podaje również sporo interesujących odnośników do stron nt. rzeczywistych badań nad cyborgami

Substancja, cud i... osoba

Marek Okraj był człowiekiem wykształconym na modłę nowoczesną, a nawet post-nowoczesną, chociaż dla tradycji sarmackich nie miał wrogości. Zresztą zasady marketingu, technika wpływania na poglądy osób trzecich były z samej natury jego istnienia mocną stroną tego człowieka. Nie musiano go w tej sferze nadmiernie kształcić. Ot, nadać dozę świadomości czynnościom wykonywanym prawie instynktownie. Dla Okraja parcie do przodu było oczywiste i nie rodziło żadnych dylematów moralnych. Awanse stanowiskowe i finansowe zdobywał względnie łatwo, bez zbytnej pracy na niekorzyść konkurencji i współzawodników z tej samej drużyny. Trzydzieści parę lat i pogarda dla sierot po realnym socjalizmie, dla pokolenia zawodowej i częstokroć egzystencjalnej pustki pomiędzy ancien régime, a cywilizacją pieniądza, były dla niego naturalną bazą budowania przyszłości, o której kształcie wiele nie myślał. Udane życie uczuciowe i sprawność w osiąganiu jasnych doznań zmysłowych pogłębiało samozadowolenie i nie szukał nowych przyczółków dla spełniania się w rzeczywistości. Mimo, że wywodził się z katolickiej rodziny i miasta średniej wielkości, nie miał zapału do małżeńskiego stadła i konkubinatu odpowiadał mu jako forma współżycia. Marek raczej redukował zainteresowania, aby skupiać się na realizacji cząstkowych celów. Przyjaciół nie miał wielu, a jeśli już to ich kontakty nie były intensywne, co nie znaczy, że bardzo odbiegały od bezpośredniości.

Marek miał w sobie wielki zapał do ciężkiego mozołu, który w zasadzie jest mało racjonalny i wymierny w kategorii walut wymienialnych. Po pewnym fizycznym przesileniu, forsownej wspinaczce w swojskich Tatrach, Marek z tygodnia na tydzień czuł się coraz gorzej: - ogólne rozbicie organizmu, niechęć do wszystkiego, częsty kaszel po wysiłku, np. przy grze w tenisa i trwające stale stany podgorączkowe, osłabiały jego aktywność życiową. Zaczął się w końcu szumnie anonsowany wiek XXI-wszy i niósł nowe wyzwania także w sferze strategii pozyskiwania klienta. Po 11 września świat stracił barwy optymizmu, a globalizacja zaczęła wydawać się ideą przedwczesną, ale tym bardziej efektywność była zadaniem międzynarodowych konsorcjów i ich funkcjonariuszy.

Po paru błędnych krokach do gabinetów lekarskich rozmaitych specjalistów, Okraj trafił do Zespołu szpitali w Mylnej Dobrej. Piękno miejsca łagodziło przymus umocowania w odosobnieniu. Był to również

pierwszy dzień po Świętach Bożego Narodzenia: - kontrast klimatu. I pierwszy bycia Marka, mężczyzny sukcesu i działania, w jakimkolwiek szpitalu. I to jako delikwenta wyznaczonego przez los do uzdrawiania, bądź po prostu medycznego przypadku.

Pięć Pawilonów (plus kapliczka i kostnica) wrosło w stoki lesistego wzgórza. Za oknami była odwilż, czuło się lekki oddech halnego, ale i ciepło zimowego słońca. Jego skośne promienie prześwitywały przez drzewa огоłocone z liści. Marek zasiedlił lokal z widokiem na południe, w stronę gór, na wprost masywu Żywieckiego Beskidu. To była spora zaleta. Sugestia, że to właściwie takie wczasy bez swojej kobiety, z towarzyszeniem nieco wymuszonym. Salę wysoką na 3,5 metra, wybudowaną jeszcze przez austriackich zaborców, wypełniało pięć łóżek. Budynek można by nazwać PrzedSIONKIEM od Diagnostyki - adekwatnie do funkcji i nieco lżej niż oficjalna nazwa: Oddział Chorób takich to i takich.

Realne jest cierpienie i samotność. Z Okrajem w tych warunkach stało się coś niezwykle dziwnego i sentymentalnego jednocześnie. Napadła go jakaś refleksyjność i nigdy wcześniej nie doznawana potrzeba spisania swych odczuć i uczuć. Od czasu kiedy w Liceum wypracował wiersz dla jakiejś dziewczyny, którą ponoć kochał, a teraz niezbyt wyraziście uprzytamniał sobie jej twarz, nic prócz obowiązkowych rozprawek studenta „nie wklepał” w pamięć twardego dysku komputera. Zapiski szpitalne prowadził skrupulatnie, z zacięciem analityka, mozolnie zwykłym długopisem budząc kartki formatu A-4. Nie miał przy sobie laptopa, ani komórki. A był tam ponad miesiąc. Po ponad dwóch latach od tamtego czasu siedziałem z nim na tarasie kempingowego domku nad zarybionym jeziorem w okolicy dość dzikiej, gdzieś między Barlinkiem a Czaplankiem. Jedliśmy pieczone okonie, wyciągaliśmy z płoci moc ości i rozmawialiśmy o tzw. życiu, małymi łydkami smakowaliśmy mocne piwo. Nasza znajomość nie była świeżej daty i choć na ładnych parę lat nasze drogi się rozeszły, czuliśmy do siebie jako ludzie jednego pokolenia, a innych doświadczeń, wyraźną smugę sympatii. Studenckie znajomości mają czasami niespodziewane zwroty serdeczności, choć zwykle po kilku Sylwestrach ziele z nich przeraźliwą pustką. I wtedy po oględnym opisie swej choroby i jej leczenia dał mi na dobranoc swe zapiski, które prowadził w szpitalu. Nie żeby ich całość, ale jakąś drobną część mniej zapewne osobistą. Powiedział: - przeczytaj to; powiedz czy to ma sens i jak to jest napisane w sensie technicznym, czy wywołuje jakąś refleksję, powiedzmy egzystencjalną i czy pobudza do myślenia?

Rozłożyłem się wygodnie na kempingowym tapczanie. Wyszaczone

piwo i smażone rybki dawały poczucie zadowolenia i pełni odpoczynku. Zabrałem się do czytania. Fragment większej całości – pomyślałem – nie miał wystarczającego zaufania do mnie i zapewne do kogokolwiek, aby wszystkie intymności były do okazania. Jako również polonista, miałem oganiać także styl. Zapiski były wzorowo czytelne. Okraj nie mógł uczyć się kaligrafii, choć z pewnością biegle stukał w klawiaturę komputera.

„W nocy nawrót gorączki, ale i bezsenność.

Poszedłem do pokoju pielęgniarek po stosowne tabletki. A tu siostrzyczka odzywa się do mnie takim tekstem: - Pan nie musi tu przychodzić, na mnie trzeba dzwonić, ja zaraz przychodzę, pan jest chory. Zdziwiłem się taką postawą. Jaki chory? Mam trochę gorączki i to wszystko. Guz się wytnie, ogólny stan zdrowia mam dobry. Pewnie wydają się jej stary, bo ta dziewczyna ma dwadzieścia lat, ładnie pachnie, krągłe piersi rysują się pod szpitalnym kitlem. Może nadgorliwa? Pewnie z tej Mylnej, a to przecież podgórska dziura. Przy okazji zaliczałem ubikację. Łazienkę o 22-giej zamykano. Było tak od czasu jak w nocy zdesperowany pacjent powiesił się w niej na pasku od spodni. Dlatego z wieczornymi ablucjami trzeba się śpieszyć (jestem tu kilkanaście godzin, a znam takie historie!).

Łyknąłem środki przeciwzapalne i nasenne, ale zapaść w sen nie była szybka. Rozważałem fakt, że mało myślę o wcześniej zmarłej Mamie. Ona miała szczególny dar modlitwy, wytrwały i skuteczny. Niemal wymuszała na Bogu Jego działanie. Napiszę coś czego nigdy nie wypowiedziałem, a co mnie się wydarzyło. Mama zmarła w lipcu. Jest grudzień, prawie styczeń. Leży blisko cmentarnego kościółka, pod stuletnim jesionem. W sierpniu jechałem do ojca, do rodzinnego domku. Wstąpiłem na cmentarz. Zacząłem się modlić na grobie Mamy. Najprościej jak można: Ojcze nasz, Zdrowaś Mario... I... nagle... otoczył mnie intensywny zapach kwiatów, skondensowany, gęsty, ale nie odurzający, zapach błogi i nieznan. Zacząłem się rozglądać: - skąd wieje, skąd? Gdzie źródło? I wtedy zrozumiałem, że to zapach świętości, zapach związany z Mamą. Czytałem kiedyś o fiołkach Ojca Pio, o różach św. Teresy. Jeszcze raz powęszyłem, nie odkryłem źródła, jakbym był owinięty szalem woni szczelnie i dydaktycznie. . Gwałtownie skończyłem modlitwę i uciekłem, po prostu uciekłem. Staram się o tym nie myśleć, co to znaczyło i czy był to znak dla mnie, który zignorowałem. Jak wiele innych subtelniej może odczuty, brutalnie przeoczonych.”

(...)

56 „Obok mnie leżał człowiek sześćdziesięcioletni, nie rzucający się

w oczy, wyniszczony chorobą.

- Nie śpi Pan, tak pierwsza noc jest ciężka. Trzeba przyjąć inne widzenie świata. I siebie jako całkowicie zależnego od innych ludzi. Obcych lekarzy i nie zawsze uprzejme salowe – rozpoczął pogawędkę.

- No tak, to nowe dla mnie, prawie egzotyczne. Tylko krajobraz jest bliski. Kocham góry..

- Jest Pan młody i już tutaj, ale młody organizm lepiej znosi traumy. Taki jak mój już nie. O czy pan tak rozmyśla. Widziałem skupienie, widziałem no... zadumę – dość obcesowo wszedł w intymne sfery mych myśli.

- O... - zawahałem się czy poczynić wyznanie intymnie, ale pal sześć pomyślałem, raz kozie śmierć – o cudach, czy to dziwne?

- W szpitalu nie. Na takim oddziale jak ten chyba nie. Tutaj piętno śmierci jakoś wisi nad każdym. Wie Pan... cuda.... trochę ich w życiu doświadczyłem. Można by je też określić bardziej sceptycznym mianem. Ale tą rzeczywistością nie dzieliłem się z nikim. A może należało by to przekazać innym, a może nawet opisać. Cud, którego się doznaje jest bardzo wstydlivy. Ale jednak opisać chociaż ten pierwszy, dziewiczy, to może dobry pomysł. Pan jest młody – zapamięta.

- Oczywiście, co opowiedziane ma inne znaczenie, nabiera istnienia w osobach innych – odpowiedziałem uprzejmie, choć z rezerwą w głosie. Myślałem nachalny jakiś gość, patrząc na niego myśli naturalnie ześlizgiwały się na poziom refleksji zejścia jako to prawia medycy po przysiędze Hipokratesa.

Sąsiad wpadł w nastrój do zwierzeń i roztoczył opowieść.

- Urodziłem się w małym miasteczku na skraju Małopolski – dość beznamiętnie relacjonował - tyleż historycznym, co przez współczesność zapomnianym. Rodzinny dom znajdował się przy rynku, który miejscowi notable, w związku z jego wymiarami, porównywali z krakowskim. Był typowym domem drewnianym w formie podkowy z wjazdem zakrytym dachem z drewnianych gontów, które pokryła, w okresie międzywojnia, czarna papa. Na belce powały (sprofanowanej wielokrotnie olejną farbą), po stronie gdzie mieszkała babcia i moje ciocie, widnieje do dziś wyryty ręką rzemieślnika napis renovatio 1844 . Był to zespół budynków, komórek, chlewów i podręcznej stodoły przygotowany do obsługi gospodarstwa rolnego. Mój dziadek po ukończeniu pracy na kolei kontynuował prowadzenie takiego niewielkiego przedsięwzięcia.

Fakt, który całe życie mam przed oczami wydarzył się w końcu lata pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Nie było jeszcze w domu telewizora,

ani wodociągu. Miałem pewnie osiem, dziewięć lat. Była wczesna jesień. Przyglądałem się (jak zawsze) z zainteresowaniem i nieklamana zazdrością, jak moja starsza siostra odrabia skomplikowane zadania domowe. Nagle, z podwórka dobiegł histeryczny, pełen przerażenia krzyk: **pali się**. Ojciec rzucił się do drzwi, reszta rodziny za nim. Płonęła drewniana, duża szopa za naszym skrzydłem domu. W niej była ręczna sieczkarnia, słoma w formie snopków, jakieś deski, spękane czasem belki. Wszystko łatwopalne. Ciotki rzuciły się do walki z pożogą. Usiłowały stworzyć łańcuch ludzi do podawania wiader od pompy, który była na Rynku, niewiele metrów od naszego domu. Ojciec obrał od razu inną strategię obrony przed ogniem. Uznał, że gaszenie szopy jest w tych warunkach beznadziejne, a do przybycia straży upłynie co najmniej kilkanaście minut i podjął racjonalną myśl: zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia na całość obiektów. Mogła spłonąć cała pierzeja rynku wraz z austerią z początku osiemnastego wieku. Tak warunkował kierunek wiatru. Szopa była jedyną częścią zabudowań posadowioną jako wolnostojąca. Z tyłu był teren niezabudowany. Tam podpalacz, ktoś z domniemanych uczniów mojej kuzynki, która była nauczycielką solidną, ale nigdy złośliwą, zaatakował żywiołem nasze domostwo. Zagrożeniem było zapalenie się chlewów i komórek po drugiej, równoległej części posesji, które ściśle łączyły się z innymi obiektami. Ojciec wszedł na dach ciągu gospodarskich budynków (oczywiście drewnianych, krytych papą) i tam zaczął polewać bale i deski podawaną w wiadrach wodą, aby je schłodzić. Wiatr kierował ogień wprost na te objekty. Widziałem jak zaczynają dymić, a wodna para buchała jakby spod żelazka. Wszystko dalej było narażone na efekt domina. Na zapleczu, w domu ciężko pracowały kobiety. W prześcieradła wiązały ubrania i pościel, wносиły na Rynek najpotrzebniejsze sprzęty: stoły, krzesła, łóżka, nawet sterty książek i podręczników stały już na chodniku pod domem. Mężczyźni wynieśli ciężkie pianino, łóżka. Ktoś zauważył, że ktoś inny chce pogorzelncom coś ukraść. Panował ogólny zamęt, wyla syrena na budynku straży, który był od naszego domu położony trzydzieści metrów dalej.

I wtedy właśnie stał się cud. Ciocia Zosia, która nie była dla mnie ciocią sensu stricto, ale rodziną bliską, z rozwianym włosiem, z ogniem na twarzy, wybiegła na podwórze. Trzymała puszkę, w której była sól poświęcona w dzień Świętej Agaty. Długim ruchem ręki nabierała niewielkie garście soli i rzucała w stronę ognia. Widziałem ją z profilu i tych sekwencji czasu nie zapomnę. Widziałem jak smużki białego piasku są prześwietlane przez płomienie. Jak bajecznie długie włosy cioci - przedszkolanki, która ślubowała dziewictwo, są przez te płomienie

przemieniane z koloru blond w bajecznie rdzawe. I wtedy wiatr - nośnik podłożonego ognia nagle odwrócił swój kierunek. Nie przestał wiać, ale niósł płomienie i snopy iskier od zabudowań na przestrzeń nie zabudowaną. Straż nie miała tu już wiele do roboty – dogasić pogorzeliśko, zabezpieczyć zgliszcza. Żyją jeszcze inni niż ja świadkowie: jedna z cioc, kuzynka i być może inne osoby, które też to widziały, bo gapiów było pół podwórka. Tak się stało, przysięgam na pragnienie życia wiecznego dla najbliższych, na pragnienie spotkania ich w wieczności. Sól Św. Agaty na ograniczenie pożaru była po prostu skuteczna. To był związek czysto fizyczny, ale prawami fizyki nie do opisanego. A może jest ważne **kto** rzuca Sól, a nie tylko sama Substancja? Kto ma wiarę i na wysłuchanie prośby prze tę wiarę zasługuje?

Tak mój sąsiad zakończył relację.

- Rzeczywiście niesamowite – podsumowałem po chwili ciszy. Zapadło milczenie. Po tej relacji nie chciało się już słów. Materia opowieści wnikała w człowieka. Sen także, ale i jakaś niesamowita forma metafizycznego bezpieczeństwa. Ta relacja niosła uspokojenie, jakąś formę zawierzenia. Nie wiedzieć czemu oczywiście, ale jednak... Ten człowiek, nieco zbyt patetycznie, ale dał pewne świadectwo. Być może ostatnie w jego życiu.

Rano mojego sąsiada przerzucono na transportowe łóżko, okryto kocem, torbę z osobistymi rzeczami położono na nogach chorego i wywieziono na oddział operacyjny, który był w innym gmachu szpitala.

Nie wiem jakie były jego dalsze losy. Nie ma to znaczenia.

Wypowiedział pewne frazy na tyle dobitne, że chciałem je zapisać. Dla niego i dla siebie. (...)

Człowiek wchodzi w chorobę i staje się jej manifestacją.

Moje wahania i niepewność: - uwiad... konstatacje, że może nie jest tak dobrze jak mi mówią lekarze. Czemu temperatura skacze? Łamie się spokój, podejście racjonalne. (...)

Szpital jest czasem potrzebny, wręcz niezbędny. Przemyśleć życie. Wpisać się w nowe perspektywy. Nie jest to nigdy Czarodziejska góra duchowych przemian, raczej tępa strumizna otwierania oczu. To nieco boli, ale wciąż chce się iść dalej.”

Skończyłem czytać relację Marka i zasnąłem. Śnił mi się Cud, śniła się Substancja. Kiedy się przebudziłem kilka ziarenek soli z opowieści rozpuściło się pod moim językiem, kilka innych uzyskało strukturę krystaliczną, zaczęło uwierać.

Marek Okraj wyszedł z opresji, uniknął najgorszego. „Przystrzyżono” mu skalpelem płuca i choć nigdy nie odzyska już sił na tyle, by znów rywalizować na kortach, z wielkim zapalem wrócił do pracy i starał się walczyć o odnowienie swej pozycji w Firmie. Ale stracił łut szczęścia, który jest niezbędny, obok samozaparcia, do... cofania się mocno do przodu. Zapadł się w siebie samego, stał się prawie introwertykiem, często nużyło go postrzeganie rzeczy zwyczajnych. Tak to relacjonował następnego dnia po mojej lekturze jego szpitalnych zapisków, kiedy w zatoczce trzciny łowiliśmy ryby. W rozmowach nie sposób było zauważyć cienia pretensji do tego, co się stało do Świata, innych ludzi, do Boga. Oczywiście, że odmianę wiązał z lekcją szpitala, a właściwie choroby, jej otoczką. „Nie substancja, ale Kto nią rzuca w ogień.” Postawił na „Kto”, nie na substancję. Choć ważności samej substancji nie negował. I chciał żyć. Miał plany. Zbudować dom, który trzeba chronić przed pożarem. Swoją życiową partnerkę zauważał jako osobę, uczłowieczył konkubentkę. Uczył się pojęcia zdrady i lojalności.

Wtedy, gdzieś koło Barlinka, po kilkugodzinnym polowie słodkowodnej drobnicy posunąłem mu mój wiersz „Kondotierzy pieniądza”. Dla kontrastu miejsca i wydźwięku utworu. Marek uważnie i delikatnie wziął tekst, a właściwie pokonkursowy almanach, w którym był wydrukowany: Ze skupieniem czytał:

Z namaszczeniem mówią o swych przewagach
i problemach, o sprzedaży osiągnięciach -
jakby tej funkcji należał się szacunek
szczególny: – bohatera konnej szarży
przeciw stali czołgów.
Funkcjonują jako najemnicy
warunkujący obrót i dochód
(anglojęzyczne nazwy stanowisk
w konsorcjum kpiny z klienta
świadczą o czymś bardziej wzniosłym).

Ich zwierzchność to beneficjenci kapitału.
Kondotierzy marzą o zajęciu ich pozycji,
by realizować swe „być”
w kręgu wybranych.

Oferują towar w formie, bardziej lub

mniej, bezpośrednio.
To, że jest to szczególnie usztywniacz
biustu,
maść lecząca raka mózgu, czy markowa firma drzwi,
które chronią przed włamaniem się wiatru dziejów
niczego nie uszlachetnia. Każda rzecz ma wymiar kosztu
z marzą za domniemaną skutecznością.

Oczy najemnika pieniądza
z rzadka spoglądają w oczy innych.
To obiekt obróbki fizycznej.
Obojętność dla tych, którym źle się wiedzie
wynika z poniżenia, które muszą znosić i oprawiać
w ramy „misji” Firmy -

z chińską cierpliwością
oprawcy z powołania.

Marek spojrzał na mnie uważnie i z niejakim zdziwieniem. „Ostry tekst, sarkastyczny, czy my na niego zasługujemy? – stwierdził – my „kondotierzy”. Wyciągnął kolejną kartkę ze swych zapisków szpitalnych. „Masz na pamiętkę od kondotiera” – zadysponował nieco ironicznie. Przeczytałem od razu w jego obecności:

„Aha... byłbym zapomniał. Jeden po czwartkowym krojeniu nie wyżył, reanimowali go sześciokrotnie i do worka. Drugi jak tu jestem /pierwszy był w Pawilonie diagnoz/. Pamiętam go - młody jak na warunki szpitalne. Miał operację teoretycznie prostą, a przypadłość nie zagrażała życiu. Tylko nieaktywne pole płuc, martwe. Takich pól w płucach jest pięć. Ten człowiek chciał żyć, to było widać. Może za bardzo? To on, kiedy przyszedłem na oddział operacyjny, obcesowo na korytarzu, starał się mnie wypytać, co ze mną, jak rokuje. Może za bardzo był ciekaw? Czy jest już zbawiony?”

Marysia przywiozła parę dzwonków karpia smażonego. Krysia go filetowała. Palce lizać. Dzielę się z Panem Ryszardem, moim współlokatorem. Jemu też posmakowało. Męczy się, znowu założyli mu dren i nosi zbiorniczek. Był zawziętym tenisistą - amatorem, odnosił sukcesy na zawodach swego środowiska. Mówi, że dla niego najlepszym dowodem na istnienie Boga jest to, że w świecie istnieje coś takiego jak tenis. Z kolei ja czytałem

niedawno, tu w Davos, co napisał Florenski, człowiek od teologii ikon: ze wszystkich dowodów teologicznych na istnienie Boga o tym, który wydaje się najbardziej przekonujący, nie wspomina się w żadnych podręcznikach. Można go streścić w następujący sposób: skoro istnieje ikona Trójcy Świętej Rublowa, to istnieje Bóg.”

W pierwszą rocznicę śmierci Jana Pawła II, po dwunastu latach, przystąpił do sakramentu pokuty – tak oznajmił mi w tekście, który zawierał jego wczorajszy e-mail. Czy jest stracony dla nowoczesności, czy właśnie światu wrócony? Horyzont jego postrzegania się rozszerzył. Tylko czy po tamtych doświadczeniach zakwestionowania i spełnienia, nie ogarnie go nieustające dążenie poznawania nowych jakości? Głód niezaspokojenia może być trwały i owocny, ale jest niebezpieczny. Tak sobie myślę: - nie każdy musi być szefem grupy marketingowej firmy, nawet ten który się w tym sprawdził, ale materialne podstawy bytu są ważne. Kiedy obniża się osiągnięty poziom materialny jest to przykry stres. To realia, które boją. Pomimo tego, że wstępuje się na wyższy poziom duchowy. Dotykają na ogół kobiet, ale one są znaczącą częścią życia mężczyzny.

Marek wysłał po paru godzinach drugi komunikat: „chcę, świadomie chcę mieć dziecko. A nawet więcej: chcę je mieć, bo chcę dla kogoś i obok kogoś żyć. Chcę je mieć również dla jego matki. Bowiem chcę ją ratować od egoizmu.”

Mówią, że świadome ojcostwo nie istnieje. Tak twierdził pewien guru literatów. Pisał też o Bogu jako Bogu –Kacie. Napiszę do Marka coś bardzo zwykłego. Może to, że ja też wobec cudu staję się bezradny jak ślepe kociątko.

Odchodzenie w przeszłość

Jesteśmy tu przejazdem i tylko na chwilę
na okamgnienie powraca dzieciństwo –
zabawy w chowanego polowania na jaszczurki
po burzy zaklinanie kałuż bosymi stopami

Ścieżkę prowadzącą do lebieńskich lasów
porosły pokrzywy Teraz wije się jak blizna
na gładkiej cerze łąki i nikt nie domyśla się nawet
że posiałeś tam pierwsze sonety

Napotkany przechodzień nie zna sołtysa Miotka
który wyplatał wróżby z futerka zająca
ani kowala Pluty oraz jego historii o duchach
i diable pokazującym się nocą w zwirowni

Odnajdujemy ich obu na cmentarzu za wsią
ich groby kret połączył siecią korytarzy
jakby na przekór waśniom trwającym przez lata
o rumieńce Basi i skrawek wiśniowego sadu

Zapalamy świeczki i ruszamy dalej
drogą przez środek wsi ku strażackiej wieży
z której bociani klekot wyprowadzał wiosnę
a młodym parom wróżył rychłe chrzciny

Jeszcze stoi ale bocianów ni śladu
jedynie gniazda anten jako potwierdzenie
że mieszkańcy ochoczo idą za postępem
i że nic tu po nas drążących w łupinie orzecha

Wracamy
Gdy dworcowy megafon zapowiada pociąg
czas znowu przywdziewa aktualną datę

Wieczór zastanie nas pewnie osiadłych w jesieni
pośród marudzenia wnucząt pomiałkiwań kota

Lucja Gocek

cieni lip sięgających płaskowyżu nieba i tęsknot
coraz szerzej otwierających okna na północną stronę –

dowodów trwania i zarazem tego
że wszyscy nieustannie
odchodzimy w przeszłość

Poniedziałek

Jak surowy nadzorca, nie pobłaża nikomu
Bezwzględnie zagania do szkół, fabryk, urzędów
szpitali. Sadza do tramwaju, na traktor
dentystyczny fotel. Wciska do rąk kielnię
akta, stetoskop, długopis. Otwiera kioski
kramy i sądowe sale. Uruchamia budziki
gniew szefa, marudzenie dziecka
Wylewa pretensje o pierwszeństwo na drodze
w kolejce po wizę albo po zasiłek
W poprzek tygodnia przebiega niczym czarny kot

Chciałam uśpić jego czujność, ugłaskać
odświętną sukienką i urodzinowym tortem
lecz on nawet dla jubilatów nie przewidział ulg
Zamiast kwiatka wręczył mi na dzień dobry listę
niezbędnych zakupów - brokuły, bo ciocia Hela
fasolka, bo Janek, szynka bo Natalia, sardynki
bo Karol, marchewka, śledzie, paluszki krabowe
jaja, ser pleśniowy, feta i salami...
Nie życzę źle rodzinie, lecz dzisiaj rada bym usłyszeć
w słuchawce telefonu : nie przyjdę, wybacz, grypa...
dyżur w zastępstwie... zalane mieszkanie...

Nie musiałabym przyrządzać sałatek ani piec sernika
poszłabym do lunaparku, do zoo, na lody
Z poniedziałkiem mogłabym bawić się w „chowanego”
lub w „sto pytań”. Może by wtedy zapomniał nasypać
w gazety wiadomości o wojnach, strajkach
bezrobociu, głodzie. Może nie zdążyłby zamknąć
ostatniej w miasteczku fabryki, nie dolał oliwy do ognia
na sesji rady gminnej i w konfliktach

zwaśnionych małżonków, nie napisał donosu
nie podał sznura zdesperowanemu samobójcy

On jednak ani myśli się zabawiać
Skrupulatnie dopisuje mi rok do życiorysu
po czym przeistacza się w panienkę siedzącą przy kasie
i o zawrót głowy przyprawia
podając rachunek

P i ą t e k – 3.09.2004

Piątek – dzień, jak każdy inny, dobry
na pisanie wierszy, robienie konfitur, budowanie domu

O tragedii w Biesłanie dowiesz się dopiero
z wieczornych wiadomości albo z porannej gazety
powiesz : „to straszne!” malując w tym czasie paznokcie
ale i tak bardziej zmartwi cię, że kupiona wiosną sukienka
nie chce dopiąć się w talii i że znowu podrożał fryzjer

Póki co, jednak jeszcze o tym wszystkim nie wiesz
spokojnie zjadasz pizzę w barze tuż za rogiem
gdzie Krzywy Franio, jak co dzień, poluje na resztki
i łąsi się do stolików mrużąc: „da na bułkę ...”
potem spróbuje szczęścia na bazarze i przy dworcu
jak dobrze pójdzie, południe uczci tanim winem
a kiedy ze śmietnika ze śmietnika wygrzebie gazety
może napisze wiersz, jak ten o Word Trade Center
który wydrukowano w znanym miesięczniku

Ale ty nie lubisz poezji i Krzywego Frania
nie lubisz tego miasta, gdzie dziesiątki knajp

Lucja Gocek

a tylko kilka sklepów z markową bielizną, gdzie nigdy
nie spotkasz żadnego di Caprio . Pewnie dlatego irytuje cię
Twój Mężczyzna przesiąknięty zapachem pstrągów
który nade wszystko uwielbia konfitury

Przymykasz powieki – pozwalasz wyobraźni rzeźbić świat
jak z kolorowych pocztówek - bez Krzywego Frania
konfitur, żebrzących na ulicach dzieci i kolejek
ustawiających się przed budynkiem MOPS-u

Nagle ktoś lekko trąca twoje ramię – jakiś inny Franio
kładzie belkę w oku. Wysupłujesz drobne
i dokładnie otrzepujesz palce z wrażliwości

Świat

Świat coraz śmieiej naciera na nasz dom –

Stół zrzucił ceratę i wystroił się w obrus z koronki
Nie grozi mu że wyleją się nań rozmowy do świtu
co najwyżej kilka łatwo zmywalnych słów
w czasie przerw na telewizyjną reklamę

Na co dzień porozumiewamy się
wieszając na korkowej tablicy komunikaty :
„wróć późno nie czekaj z kolacją”
„kup żarówkę”, „zapłać za telefon”

Świat coraz zuchwalej zmazuje z kalendarzy
daty imienin i jubileuszy
wpisuje kursy walut notowania giełdy
i stan osobistych kont

Lucja Gocek

Pod wspólną koldrą zagnieździła się samotność
Nawet nasze sny biegną w różne strony
choć nadal życzymy sobie dobrej nocy

Pewnie i modlitwy mają różnych bogów
bo ślemy je osobno z tajnych skrytek serca
pieczętując niedbale imitacją Krzyża

A jednak dziś wieczorem Świat nagle się wycofał

Umarł Papież –

Objąłeś mnie mocno i znów staliśmy się
jednością jak dwie literki w słowie MY

Jakby ktoś w nas pootwierał okna
Jakby uchylił niewidzialne drzwi.

Elżbieta Bugajna

Krëjamnô dôka

W kñmùdnym widze wżénika
Bùlwiszcze liszcze môlniowim płomã
Lédzy ju ni ma, úszlë dodóm
Hôczy ñstałë na pñlu
Wstaje krëjamnô dôka przëcygnionô
Ñd cemnégñ môla westrzód lasów
Dze stolëmné kamë spiã zastëglã hùrma
Stôrodôwnëch mñcarzów zza Bôłtu
Na czëpach wëzawë pleszczã czerwioné ñgnie
Ñ widzałëch czarzach historëje
Ksyzców mądrëch a bñgactwã ñbloklëch
Na klëczkach w miechach kùszkajacëch Jezësa
Czej smroczné dzeje zamklë swe ñczë
A Słowñ stało sã Całã

UROK ŁEBY

Urok miasta, jak urok człowieka, jak urok ciekawej książki, obrazu, melodii... jest czymś niezwykle trudnym do ujęcia w słowa. Jest to odczuwalna, specyficzna atmosfera, którą wytwarza najbliższa okolica, przyroda, ukształtowanie, architektura, układ uliczek, styl życia mieszkańców, historia, również perspektywa nadchodzących lat. Poza tym urok miasta leży również w możliwości odczucia owej atmosfery. Urzeczenie jest najistotniejszym czynnikiem pozwalającym uchwycić tę przemykającą uliczkami urodę wpływających właśnie w tym miejscu chwil.

Sądzę, że na urok miasta jest bardziej wyczulony przybysz aniżeli stały mieszkaniec. Na tej właśnie zasadzie pragnę opowiedzieć urok miasteczka, Łeby.

Do Łeby przyjeżdża się jako do miejsca docelowego. Przez Łebę nie można przejechać tak po prostu po drodze. Tu kończy się linia torów kolejowych, linia drogi asfaltowej, wszystkie ścieżki kończą się na styku z linią morza. Właśnie na tym polega urok miasteczek leżących na brzegu Wielkiej Wody: nie stanowią dodatku do krzyżujących się hałaśliwych arterii, traktów.

Po raz pierwszy przybyłem do Łeby pięćdziesiąt lat temu. Niedziela. Ostatni tydzień września. Przyjechałem na rowerze. Do ramy roweru przytroczone chlebak z wysychającą pajdą, butelka lemoniady i garść złotych w bilonie. Dmuchał północny wiatr.

Znałem już kilka miast i miasteczek portowych. Nosilem w pamięci obrazki uroczych uliczek wiodących do morza, skwerów, bulwarów nadmorskich, falochronów wybiegających daleko w morze, miałem „swoje” mola i plaże. Ale to urzeczenie zaczęło się od pierwszego spojrzenia.

Gdy po godzinie jazdy z Lęborka zobaczyłem, że dziurawa szosa wybiegła z lasu na otwartą przestrzeń nadmorskiej równiny, zatrzymałem rower, by wyprostować zgięty grzbiet. Przede mną w linii drogi, w prześwicie między koronami drzew - kolorowe ściany i dachy parterowych domków. Na lewo wpisana w rozległą, zieloną płaszczyznę równiny sina tafla wielkiego jeziora, daleka, bezkresna, zamazana mgiełką słonecznego południa. Północny brzeg równiny zamyka linia lasu, ale wyżej ponad ciemną krechę drzew wznoszą się grzbiety białych wydm. Te piaszczyste góry lśnią tajemniczo w promieniach słońca. Być może tajemniczość tych piaszczystych wierzchołków kojarzyłem z bliska jeszcze wspomnieniem lat chłopięcych.

Edward Kaczmarek

Gdzieś tam - wiedziałem już z przewodnika - między białymi usypiskami wydm ukryte w lesie rdzewieją wyrzutnie V2. W następnych latach - niemal podczas każdego pobytu w miasteczku - chodziłem „obwąchać” miejsce, z którego miały startować tajemnicze rakiety. Pozostało nieco rdzewiejącego żelastwa, sporo betonu, bunkry... Dookoła cisza lasu, piasek wydm.

Pierwsze zetknięcie z miasteczkiem w 1955 roku wypadło nieco przygnębiająco. Jedna długa ulica poświęcona Kościuszce, kilka krótkich odbiegających w pustkę łąk pociętych rowami odwadniającymi. Na chodnikach trawa, płoty w wysokim zielsku. Nawet na głównej opuszczone mieszkania, wiele okien i drzwi zabitych deskami. Dwa długie rzędy parterowych domków z ostrymi dachami, poczerniałą dachówką. W słoneczne południe wrześniowej niedzieli, w dalekiej perspektywie głównej ulicy, zaledwie trzy ludzkie sylwetki. Na ostrych zwieńczeniach dachów gołębie i mewy. Dla bezpieczeństwa zagrabione plaże.

W kiosku kupiłem plakietkę z herbem miasteczka. Fantazja artysty wy rysowała na białym tle prostokąta czerwonego potwora zanurzonego w taflach morskich. Nad grzbietem potwora artysta umieścił czarny krzyż. Potwór ni to płynie, ni to spoczywa na fali. Jest groźny, wysunął dwie łapy zakończone pazurami o trzech palcach: straszą ostre, długie szpony. Jedną łapę uniósł jakby w zamiarze zadania ciosu, hardo postawił łeb, z otwartego pyska wybiega długi, wygięty ku górze język. Mocny kark przechodzi zwalście w rybi tułów. Ponad fale wystaje płetwa rybiego ogona. Mors?

Kilka lat później, w miejscowej bibliotece, spojrział na mnie z tła herbu łeb lwa przeszczepiony na ten sam rybi tułów. Daleki tropikalny zwierzak chimerycznie połączony z bałtycką rybą.

Jeszcze kilka lat później – oglądając kolekcję historycznych pieczętek różnych instytucji miasteczka – znalazłem herb z głową dziewczyny. Długi rozpuszczony warkocz spływający na fali. W miejsce ciężkiego tułowia ryby smukła sylwetka syreny.

Gdzie kanał portowy łączy się z leniwym nurtem rzeki Łeba, znalazł miejsce port. W porcie kutry rybackie. Na lewym brzegu niewielka stocznia, na prawym przetwórnia ryb.

W porcie szumią głośno korony wysokich drzew. Nawet w bezwietrzne, słoneczne południa liście szeleszczą cichutko, reagują niewyczuwalne podmuchy wiatru. Mewy krążą czujnie w zakolu rzeki. Przytulone do nabrzeżnych pali w dwóch rzędach kolorowe kutry. Skrzypią cumy. Jasne refleksy falującej wody tańczą na żółtych kadłubach. Gdy wieje wiatr z kie-

runku równiny, niesie do przystani zapach wędzonej ryby. Port wcisnął się do miasteczka, niemal pod progi domków rybackich. Układanie skrzyż na pokładach, zwijanie sieci, ładowanie lodu pod pokłady, tankowanie paliwa, dzielenie złowionych ryb... wszystkie sprawy morza dzieją się na oczach mieszkańców i gapiów.

Gdy następnego dnia wyszedłem na plażę, morze falowało jeszcze wzburzone po nocnej wichurze. Samotna kobieta zbierała muszelki. Przed betonowe ramiona falochronu wypłynęła właśnie koparka, by rozpocząć codzienną syzyfową walkę z morzem zasypującym wejście do portu.

Zatrzymałem się przy kobiecie zbierającej muszelki. Zapytałem o ruiny Świętego Mikołaja: - Czytałem, że gdzieś w tej okolicy, w wydymowym lesie, zachowały się ruiny kościoła! Nie trafiłem jeszcze na ich ślad.

- Źle pan szuka! Nie w tej okolicy – ruchem głowy zatoczyła krążek obejmujący obszar wydym daleko poza rzeką. – Po drugiej stronie portu, tam gdzie kiedyś było miasteczko! Za płotem stoczni, jeszcze dalej. Trafi pan po znakach na drzewach.

Pozostał tylko fragmentek muru: golotka ceglana ściana. Płukana deszczem, szlifowana piaskiem, pozbawiona dawnej świetności. Tylko w kronice przypomina swoją wyniosłą, gotycką młodość. Czas wyniósł tę kupkę kamieni i cegieł do fascynującej godności: plastycznie opowiada wyobraźni pojęcie przemijania. Były dzwoni: śpiewały weselną radość i żalobny smutek. Śpiew dzwonów wędrował po wysokich koronach dębów i buków, przez gęstwiny rozległych borów okalających miasteczko. Na północy, po minięciu szerokiej plaży, tonał w dalekiej wodnej przestrzeni Bałtyku, na zachód ginał

w pustynnym krajobrazie ruchomych wydym, usypanych wiatrem wysoko ponad korony drzew leśnych. Najdalej niosły granie dzwonów rozlane szeroko wody mokradeł, bagien i jezior od południa broniące dostępu do miasteczka. Najdonioślej słyszał głos dzwonów port w zakolu rzeki.

Kluczając pośród rachitycznych drzewek leśnych, wytarganych zimowymi sztormami, błądząc po pagórkach porośniętych zielskiem, pokrytych igliwem... – daremnie usiłowałem odnaleźć ślad chociaż jednej uliczki, jednej ścieżki, jednego kamienia osady, która zniknęła, pozostawiając tylko fragment ceglanego muru. I ciągle brak mi pewności, czy ten upływ czasu nazwać wiekiem, czy tylko chwilą. Może właśnie po to przyjeżdżam tyle razy od nowa do tego miasteczka.

Edward Kacmarek

Miasteczko otoczyły ruchome piaski, ruchome dno morza i bez wytchnienia biegnące do brzegu fale. W dni pogody plaża suszy w południowym słońcu mokry piasek: śpiewa pod stopami. Cichy oddech morza kołysze łagodnie odpoczywające na fali mewy. Ogromna, przejmująca, świątynna cisza przezroczystej przestrzeni nasyconej wszystkimi odcieniami błękitu. Można wyliczać ptaki wskazując kolejno: nowa śmieszka, mewa srebrzysta, rybitwa wielkodzioba, czajka... zmierzch wywabi jeszcze lelka między korony wydmowego lasu. Podczas wiosennych, jesiennych przelotów zabierają wyobraźnię daleko wędrujące gągoly krzykliwe.

Styczniowy dzień, czterysta pięćdziesiąt lat temu: na Bałtyku szaleje sztorm o niespotykanej dotąd sile. Woda wdiera się do miasta. Wysoka fala łamie drzewa, przewraca statki w porcie, wypłukuje ulice, podmywa domki, wałą się mury, a wichura unosi dachy. Pośród rumowisk, w strumieniach wody zabici i ranni. Rozszalałe morze niesło miastu zagładę. Po tym nieszczęściu część

mieszkańców opuściła swoje zniszczone domy, zbudowali nowe po drugiej stronie rzeki: znacznie dalej od morza, w miejscu bardziej bezpiecznym.

Starym żal opuszczać zasiedziałe kąty. Więc rzeka podzieliła miasteczko: ratusz i kościół po lewej stronie. Dwanaście lat później morze ponownie zalało miasteczko. Niewiele ocalało. Pozostali mieszkańcy przenieśli resztki dobytku na prawy brzeg rzeki i w ten sposób stara część miasteczka, zupełnie opuszczona przez ludzi, uległa zagładzie. Opuszczoną część przykryły wędrujące wydmy: przez stulecia cierpliwy wiatr przesypywał ziarnka piasku, by całkowicie przykryć dawną osadę. Pozostał tylko fragment muru Świętego Mikołaja.

W miasteczku jest sporo do oglądania, chociaż na pozór nic się nie dzieje. W stoczni ludzie krzątają się przy maszynach. Inaczej pracują na pokładach rybacy: w ich rękach sieci i żywa ryba.

Zawsze z tym samym zaciekawieniem patrzę, jak sternik popisuje się zwrotnością kutra w wąskim kanale. Stateczek jak narowisty koń: rwie do przodu, do tyłu, rzuca na boki, silnik dudni melodyjnie. Wieczorem trwa krzątanie przy odprawie kutrów. Wszystko dzieje się wówczas jak na scenie wielkiego teatru: lampy oświetlają jasno port. Podświetlają wysokie korony drzew, na stateczkach białe, żółte, czerwone lampki sygnałów. Maszty, kadłuby, światełka tasują się nieustannie, syczą pompy, łomoczą kruszarki lodu... Kolorowy koncert pod wysoką kopułą granatowego nieba z ćwiekami gwiazd. I wreszcie wszystko gotowe, kutry z załogą na burcie – jak aktorzy opuszczają światła rampy – odpływają za

ciemną, gęstą kurtyną nocy. Jeszcze ostatni gest podniesionej ręki, gdy stateczek wpisuje się w ostry łuk kanału, jeszcze przez chwilę niewyraźny zarys masztów, jeszcze mrugające światełko na końcu falochronu i już tylko jednorodna czerń morza i nieba. Milkną pompy, kruszarki, gasną światła.

Skoro rozbrzask świtu dotknie morza, rybacy zanurzą sieci w Rynnie Słupskiej. Powrócą następnego dnia późnym popołudniem albo o zmierzchu.

Tuż za miasteczkiem prawdziwa pustynia. Betonowa droga łącząca kiedyś stanowiska wyrzutni V2 teraz wije się krętą linią w gęstwinie leśnej. Z lewej strony bagna, z prawej bór sosnowy. Po kilku minutach jazdy kończy się betonówka. Jeszcze kawałek bitej drogi i pomiędzy pniami sosen jasne plamy piaszczystych wzgórz. Plamy wznoszą się coraz wyżej, natarczywie wciskają między pnie sosen. Wreszcie pierwsze pazury wydm sięgają po koleiny leśnej drogi. Po chwili sypki piasek rozległymi nawiewami kryje jej ślad. Koniec jazdy.

Cisza. Las szumi, ptaki koncertują. Słońce syci blaskiem korony drzew. W trawie szeleści spłoszona jaszczurka. Nagle tuż przy drodze, stroma ściana wydmy. Wysoki, ostry wierzchołek wyraźnie góruje nad koronami sosen. Na krawędzi wiatr – tu na dole niewyczuwalny – prószy mgiełką piasku: wydma wędruje w głąb lasu. Nieustępliwa. Otacza pnie drzew. Daremnie bór gęstym szykiem sosen, płataniną krzewów usiłuje stawić opór. Mgiełka piasku przeniknie każdą szczelinę. Na stokach wydm – jak ręce topielca wzywające pomocy – korony zasypanych drzew.

Ze szczytu wydmy urzekający widok. Od stóp aż po horyzont pustynny krajobraz. Sypkie, ruchome pochyłości, wzgórze z ostrymi nawiewami, nawisy na krawędziach, płaskie tarasy, rozległe doliny... morze rażącego oczy lśniącego w słońcu piasku. Brak śladu człowieka. Po pagórkach suną cienie obłoków. I oto dolina martwego lasu: z piasku sterczą szczątki drzew, poczerniałe, suche pnie, kikuty konarów. Tu szumiał dawniej zielony las. Tędy właśnie przewędrowała góra piasku.

Nas pustynną okolicą góruje szczyt najwyższej wydmy ruchomej, Łąckiej Góry. Nad głową błękit nieba, dokoła oślepiająca biel piasku, dalej szafir morza, srebro spokojnej tafli jeziora Łebsko, na horyzoncie ciemne pasmo wzgórz morenowych... Linię horyzontu urozmaica ostry stożek Świętej Góry, wyniesiony ponad pasmo wzgórz. Tam stała świątynia Swarozycy Później wybudowano na jej miejscu kaplicę Świętego Mikołaja patrona żeglarzy i rybaków. Gdy kaplicę zburzono, na szczycie rozpalano wielkie ogniska: dym w dzień, ogień w nocy wskazywał drogę żeglarzom. Legenda opowiada też, że na górze „mieszkali” korsarze, stąd urządzali nawet dalekie

Edward Kaczmarek

zbójckie wyprawy. Najpiękniejsza legenda opowiada, że dzwon z wieży Św. Mikołaja – gdy kaplicę burzono – stoczył się do jeziora, podobno czasem słysząc jego dźwięczny głos. Należy stanąć na brzegu jeziora w noc pełni księżyca. Gdy o północy światło księżyca pozłoci taflę wody, dzwon zaczyna bić. Jego melodyjny dźwięk wzywa tych, którzy tu żyli: łowili ryby, budowali łodzie, ścinali drzewa w lesie, uprawiali ziemię i hodowali bydło. Wspinają się wówczas krętą ścieżką na wzgórze do wspólnego ogniska. Potem stoją w krąg pogodzeni, nieco zażenowani patrzą uparcie w środek ogniska, jakby to właśnie było najważniejsze: którzy wzniesli świątynię Swarozycowi, by czcić jego wielkość, którzy ją zburzyli, by zbudować kaplicę na cześć Św. Mikołaja, którzy zburzyli kaplicę patrona żeglarzy, by zbudować na szczycie wzniesienia latarnie morską, najbardziej widomy znak dla zagubionych w nocy, którzy wreszcie łupili okolicznych chłopów, napadali rybaków na morzu...

Ale długo przebywać na Łąckiej Górze nie sposób. Wiatr targa włosami, podmuchy unoszą wysoko ziarenka piasku, piasek wciska się w szczelinki ubrania, chrzęści w zębach, prószy w oczy.

Właściwie na czym polega urok tego miasteczka? Co mnie w nim urzekło? Zaledwie jeden Dom Wycieczkowy już solidnie wyeksploatowany. Do niedawna jedna restauracja, jeden bar, jedna kawiarnia, jedno kino i trzy tysiące stałych mieszkańców. W zasadzie żadnych zabytków oprócz owego fragmentu kościoła Św. Mikołaja.

A jednak w najmniej oczekiwanych momentach i miejscach napada wspomnienie małego przymorskiego miasteczka. Mijają lata, a obraz nie traci swojej specyficznej wyrazistości: pamięć odkrywa coraz to nowe szczególiki, które na miejscu zbyt pobieżnie odfajkowałem. Na odległość nabierają nagle wartości, jak owe bibeloty wyciągane potajemnie z szuflad. W centrach wielkich miast, w samych oczkach dwudziestowiecznych wirów, podziwiając betonowo-szklane bryły ostatnich osiągnięć techniki budowlanej, przylapuję wyobraźnię na wstydliwych wagarach. Włóczy się w tajemnicy przed wszystkimi w znajomych uliczkach, pośród niewielkich domków: wychodzi, by popatrzeć na daleką równinę pól, szybuje tuż nad srebrzącą powierzchnią jeziora, słucha szumu morza z pustej plaży, wędruje ścieżką leśną w igliwnym zaduchu skwarne południa...

Może właśnie ta niewielkość, prostota, ta możliwość uchwycenia wszystkiego jednym rzutem oka, stanowi źródło owego uroku? Może właśnie brak pozorów, brak polityry historycznej, owego splendoru, dawnej świetności, ważności?... Może najbardziej urzekające jest to proste, na przestrzał widoczne życie codzienne miasteczka?

Fasady domków nabierają świeżych barw: miasteczko przygotowujące się do kolejnego sezonu letniego. To już ostatnie chwile jego uroku.

Sezon. Z całego kraju zjeżdżają wczasowicze, turyści. I nagle wszystkiego jest za mało. Za mało miejsc noclegowych, biwakowych, ciasno na chodnikach, ciasno na plaży, ciasno w kawiarenkach... tłoczno i brudno. Kilka „ważniejszych” uliczek wypełnia tłum: wrzask, tłok, po wszystko kolejki. Na plaży jak w koloniach morsów – cielsko przy cielsku. Uliczki, podwórka, skwerki, placówki zapchane samochodami. Na plażach hałaśliwe tranzystorki, między ciałami plażowiczów butelki, puszki, plastikowe woreczki, papier, kapselki, połamane kosze, rozdeptana faszyna chroniąca wydmy. I tak oto pryska urok miasteczka, w ogłupiającym tumultcie, hałasie szaf grających, wrzasku dyskotek.

Niewielu, bardzo niewielu przyjeżdża do Łeby po prostu przypadkowy przydział wczasów. Nudzą się „na morgi”. Nigdy nie oglądają zachodu słońca, świtu na plaży, kutrów w kanale portowym, wydmy... Dzień w dzień na tym samym skrawku plaży, w tym samym towarzystwie. Gdy zdarzy się kilka dni deszczu, nuda osiąga zabójczy szczyt: pakują manele i przysięgają sobie solennie więcej tu nie postawić stopy. Słuchając narzekań na nudę i szarżyznę tej „zakichanej” miejsciny, nawet słówkiem nie protestuję, gdyż nie chcę uchodzić za faceta, którego miejsce w domu wariatów.

Na szczęście ów dopust boży trwa tylko dwa miesiące. Urok powraca we wrześniu, październiku, gdy z wielokrotniony, wzmocniony o dodatkowe beczkowozy, śmieciarki, zamiatarki... oddział komunalny upora się z pozostałościami po turystach, gdy plażę oczyści ręka zbieracza i północny wiatr, gdy trawa podniesie złamany kark... gdy znowu ciszę zakłóci tylko krzyk mewy i szum morskich fal.

Urok miasteczka najbardziej uchwytne na przełomie sezonów: w maju – czerwcu, we wrześniu – październiku. Urok płynący również z owej delikatnej mgielki melancholii: że maj – czerwiec to kolejna zapowiedź „czegoś”, a wrzesień – październik to ledwie uchwytne świadomość odpłynięcia jeszcze jednej nieokreślonej nadziei.

W ostatnich latach miasteczko wysubtelniało: na ulicy Kościuszki w miejsce dziko rosnącej trawy ogromne donice kwiatów, zniknęły pokrzywy, zarumieniły się kolorowe płoty, fasady domków... Już tylko w pamięci wczorajszy dzień.

Przybyło ulic, daleko w pole, głęboko w las wcisnęły się działki ośrodków wczasowych, campingi, pola namiotowe... beton i asfalt zastąpił żwir i drewno w porcie. W miejscu pierwotnej wędzarni kopci zakład prze-

Edward Kaczmarek

twórstwa rybnego. Ale na zwieńczeniach dachów, na wysokich stertach skrzyń i beczek wysiadują krzykliwe mewy, krążą gołębie nad portem... i świt w śródmieściu zapowiadają koguty. Pozostał przecież ów specyficzny urok miasteczka: port, plaża, morze, wydmy, rozległe równiny, lasy, tafle jezior i leniwy bieg rzeki.

Morze: puste, zaledwie pomarszczone drobną falą, żagiel utknął nieruchomo na szczycie horyzontu, ptaki obsiadły przybrzeżną mieliznę. Na pozór wszystko wiadome: południowy bezruch plaży przetrwa przecież tak do zmierzchu. Wszystko wiadome, a jednak czekam: słońce przesunie mój cień, delikatny podmuch wiatru popchnie żagiel za horyzont, ciszę zakłóci krzyk mewy. I znajdę powód, by pozostać jeszcze chwilę: poczekam na krążącą mewę, aż wybierze miejsce godne ułożenia rozwartych skrzydeł. Potem poczekam na powracający z połowu kuter: wychyli się niewyraźną plamką spoza łuku horyzontu i popłynie w rozwarte na jego przywitanie ramiona falochronu. Skrzypną, zamilknie stukanie silnika. Do burt przybędą żony rybaków, sprawdzą pospiesznie, czy wszyscy mężczyźni na swoich miejscach. Hałaśliwa dzieciarnia obsiadzie pokład, szczenie psa poniesie się w zakamarki portowego basenu.

Morze: cisza, bezruch i nagle huk, szaleństwo miotania. A przecież gdzieś przez środek żywiołu przebiega ta cieniutka - nieuchwytna dla oka, dla ucha - granica rażącego blasku i głębokiego mroku, ciszy i huku.

Łeba leży właśnie na styku dwóch żywiołów.



strona na jakąś grafikę
oczywiście gdzieś w środku publikacji
wg życzenia



Do druku przygotowała
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU

Rysunki

XX

ISBN 83-918379-7-1

Wydano nakładem
Rady Miejskiej w Lęborku
Oddziału Wojewódzkiego
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Zarządu Głównego Zrzeszenia
Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku
Starostwa Powiatowego w Lęborku

Druk:

drukarnia s.c. Kamilla i Jacek Bednarkiewicz
Lębork, ul. Słupska 23A, tel. 0 501 40 20 44